SZKOŁY ... w GDAŃSKU

PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron | Warszawa, 20 lutego 1955 r. | Nr 8 (256) Rok VI

TADEUSZ BREZA

Stuletnia droga przez mękę

W salonie „Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki" Andrzej Strumiłło wystawił cykl rysunków chińskich. Jest ich kilkadziesiąt. Znam je wszystkie i jeszcze co najmniej setkę innych, których nie wystawił. Byliśmy w Chinach razem, stanowiąc wspólnie z Reginą Smendzianką, Stefanią Woytowicz, Edmundem Borą, Janem Kottem, Jerzym Zarzyckim, rektorem Kurkiewiczem, profesorami Chmielewskim i Jakubowskim delegację kulturalną, której przewodził redaktor naczelny „Nowej Kultury", Paweł Hoffman.

Teraz, kiedy w salonach „Klubu" przy Nowym Świecie przechodzę od rysunku do rysunku, ożywa wspomnienie niedawnej podróży. Przyglądam się twarzom, które widziałem, poznaję miejsca, szczegóły architektoniczne i motywy krajobrazu. Różne momenty się przypominają. Cały łańcuch, i to z tylu złożony ogniw. Pomaga mojej pamięci Strumiłło. Zamykam na chwilę oczy i oglądam jego postać plastycznie. Wysoką, długonosą, w berecie. Stąpa przed siebie i wypatruje. Za nim przydany mu tłumacz. Nieduży, z blokiem rysunkowym pod jedną pachą, z pudełkiem na ołówki i pędzle pod drugą, z buteleczką tuszu u pasa. Strumiłło nie dzierży nic, bo musi mieć wolne ręce. Coraz to w poszukiwaniu motywu czy twarzy charakterystycznej ocienia sobie oczy. W takim więc ordynku dążą przed siebie niczym średniowieczny bakałarz ze swoim pauprem. W powrotnej drodze porządek się zmienia. Malarz wlecze się z tyłu z tuszem i pudełkiem, zadumany i pełen wątpliwości po dniu pracy, jak to każdy artysta. Jego chiński towarzysz natomiast wysuwa się na czoło pochodu w skupieniu niosąc wykonane przez Strumiłłę rysunki, promienny, dumny i zadowolony.

Bardzo słusznie! Strumiłło rysuje pięknie. Jego cykl chiński jest bogaty i różnorodny. Jego podejście do tematyki jest trafne. Strumiłło nie upaja się egzotyzmem. Z Chińczyków nie robi istot zdumiewająco dalekich i obcych. Z chińskiej ziemi nie robi jakiejś ziemi dziwacznej. Umie utrzymać szczęśliwe proporcje między tym co jest odmienne i tym co jest takie same jak u nas. Każdy bowiem świat obcy zaskakuje nas zarówno jednym jak i drugim. Strumiłło doskonale to czuje. Kiedy patrzę w twarze jego Chińczyków, myślę, że jeszcze coś na jego wrażliwość wpływało. Myśmy chcieli naszych towarzyszy pojąć jak najlepiej i oni nas chcieli pojąć. Szukaliśmy zrozumienia, szukaliśmy podobieństw. Nasz naród i ich naród weszły teraz do jednej rodziny. Nasza przyszłość zależy od ich przyszłości, ich przyszłość zależy też i od naszej. Kiedy się tę sprawę często rozważa i codzień o niej mówi, zaczyna ona również wpływać na widzenie plastyczne. U nas, Hoffmana, Kotta, Bory i u mnie, a więc u ludzi pióra nie pędzla, wyrażało się to konstatowaniem mnóstwa nieoczekiwanych podobieństw. U Strumiłły zaś w ten sposób prosty.

Przechodzę od rysunku do rysunku i odtwarzam sobie naszą trasę. Oto przesmutna uliczka, jeden z bezmiernej ilości wąziutkich zaułków w bliskości podmiejskiego hotelu w Pekinie, gdzieśmy mieszkali przez dwa tygodnie. Oto świątynie i pałace stolicy. A dalej Czungking, pradawne miasto, gdzie przyszła na świat małżonka legendarnego cesarza Wu z dynastii Hsia, i to wszystko cztery tysiące i dwieście lat temu! Był tu w pobliżu i Marco Polo. Z tego miejsca pochodzą jego opisy owej gościnności szczególnej, która nakazywała mężowi omijać nocą pokój małżonki, jeśli przed jej drzwiami stały trzewiki przybysza. O takich rzeczach i tym podobnych opowiadali po powrocie do domu i inni europejscy podróżni. Ale być może, że to były tylko relacje taktyczne. Kto dzisiaj sprawdzi! Pięknie tu. Olbrzymi Jangtsekiang, który Kott nazwał rzeką niewąską, wchłania w tym miejscu rzekę Kialin. Oglądać można to złączenie z wysokości pięciuset metrów. Miasto bowiem zbudowane jest na górach. Tak stromych niekiedy, że nie ma tu tych cyklistów pedałujących całymi miriadami po Pekinie.

Czungking! A zaraz obok Kunming na samym południu. Też położony wysoko. To stolica Yunnanu. Kraju sławnego z urody, z urodzajów i wiecznotrwałej wiosny. Kraju całego mnóstwa — i to nieraz po kilkanaście milionów liczących — mniejszości narodowych. Kraju narodów Tai, Ashi, Ishi, Lolo, I, Lu, Kaku, Kawa, Li i tylu, tylu innych, które przetrwały, bowiem „strumieniami rozpuszczającymi się w morzu chińskim", jak powiada stare azjatyckie przysłowie, bywały z reguły nacje, którym udało się podbić Chiny, a nigdy te, które Chińczycy sobie podporządkowali. Kraju graniczącego z Birmą, Sjamem i tą częścią Wietnamu, którą Francuzi zwali Tonkinem. To oni właśnie zbudowali kolej z Hanoi do Kunmingu. Nie prowadzi ona nigdzie dalej. Była niejako rzemyczkiem, a koniczkiem miało się stać włączenie Yunnanu do Indochin. Anglicy tej napaści pobłogosławili. Ale do niej nie doszło, bo inne mocarstwowe willi na nią zgody nie dały.

Jest Kunming. Natomiast Nanningu brak. To już jest za zwrotnikiem. Upał dokuczył nam, chociaż wylądowaliśmy tylko na kilka godzin, ot, żeby obiad zjeść jedynie. W zamian za to, ileż Strumiłło wydobył z Kantonu a zwłaszcza z Szanghaju. Jaki to wrażliwy artysta. Jaki jego Kanton jest prawdziwy. Czuję znów na swojej twarzy duszny i cierpki wiew tego ogromnego miasta, które jest morzem monotonnych, zasmucających, biednych czynszówek, dykcianych budek i szałasów z mat, w tym samym sensie w jakim Szanghaj jest tego oceanem. Są i wyspy. A więc oczywiście dawne settlementy i koncesje czy nabrzeża w Kantonie nad Rzeką Perłową a w Szanghaju nad rzekami Sutse-ho i Wampu, zarezerwowane przez lat nieomal setkę tylko dla europejskich hoteli, konsulatów, urzędów czy banków.

Kontrast jest przejmujący. Czy tu, czy w Czungkingu, czy w Pekinie, czy w Tientsinie, do którego pojechaliśmy później, ten kontrast jest taki sam. Jest to kontrast olbrzymi i zawsze identyczny niezależnie od tego, czy to będzie jak w Pekinie kontrast między wspaniałością dawnego miasta cesarzy a przedmieściami nędzarzy, czy też będzie to kontrast pomiędzy czungkingskimi pałacami członków słynnych czterech rodzin, owej finansowej magnaterii chińskiej, a norami w glinie, gdzie jeszcze do niedawna mieszkano. Czy też będzie to kontrast między starymi angielskimi czy amerykańskimi willami na koncesjach a tym co je otacza. Jakość tego kontrastu jest uderzająca i, powiedziałbym, uderzająca jest jego rozległość. Nie inaczej więc, lecz jak gdyby morze czy ocean i wyspy!

Wszystko na nich jest na najwyższym poziomie. Tylko że jakim to wszystko kosztem! I płaconym przez ile stuleci! Bo kiedy się patrzy na te oazy dawnych settlementów, czy na te kraiki jak z bajki, obecnie albo kluby robotnicze, albo szkoły a do niedawna siedziby chińskich multimiliarderów, warto przypomnieć sobie pałace pekińskie. W mieście zakazanym jest ich setka. Stanowiły miasto zakazane właściwe. Ale przecież nie cały dwór zdolne były pod swoimi dachami pomieścić. Bo ten dwór się składał z trzydziestu tysięcy ludzi. Żarło to wszystko, ubierało się, bawiło, a na koniec grzebało, aby tylko jak najwspanialej, aby tylko jak najdrożej. Kiedy zmarła przedostatnia, słynna cesarzowa wdowa Tsy-si, na jej pogrzeb wydano półtora miliona taelów. Za taką sumę można było skanalizować jedną z dzielnic Pekinu!

Od czasów romantycznej i legendarnej małżonki cesarza Wu do czasów monstrualnej i z całą pewnością rzeczywistej cesarzowej Tsy-si ileż ten dwór musiał pochłonąć. Był plagą narodu i grobem wszystkich kolejnych dynastii. Przepyszny, kosztowny, rojny i ceremonialny stanowił zarazem i Wersal, i Seraj, i Watykan. A ten ostatni z tego powodu: że cesarz chiński był nie tylko zwykłym panującym, ale mandatariuszem nieba. Był nieba synem. Kiedy tron obejmował taki nowy syn, od razu jak w złote bagno zapadał się w to „zakazane miasto" z jego siatką przepisów, gdzie nie podobna było wytyczyć granic pomiędzy sprawami rytuałów, ceremonii, protokołu i obyczaju. Wśród stu pałaców cesarza istniał jeden, pałac „Przedziwnej Harmonii", w którym raz na rok w ściśle określony sposób vice-żony cesarza składały hołd żonie głównej. W wielkiej sali tego pałacu istotnie „Przedziwnej Harmonii" znajdowało się miejsca pod dostatkiem. Chociaż przepisy nie określały liczby małżonek, z całego kontekstu wynikało, że powinno ich być wiele. Zatem było. Skoro nawet kanony tego się domagały i poświadczony tradycją rytuał, jakże nowy cesarz mógł w tym miejscu zostawić lukę.

Toteż jej nie zostawiał. Czy chciał czy nie chciał, musiał być przecież przepisowym synem nieba i wypełniać swoją rolę, tak jak wypełniano ją od tysięcy lat. A dwór z tego nastawienia korzystał. Korzystały wszystkie te jego małżonki wraz z przychówkiem. Korzystała przydana im obstawa złożona z eunuchów, którzy tylko intrygowali, czyli, po naszemu mówiąc, rozrabiali, bo cóż mogli robić innego. Korzystała rodzina, stryjowie, wujowie, kuzyni, siostrzeńcy oraz te setki wspaniałych i pompatycznych dostojników, którzy chociaż także czasami niebieskiego pochodzenia, rwali dla siebie wszelkie dobra całkiem po ziemsku.

Dwór gnił. Tkwił wewnątrz chińskiego organizmu państwowego, zgodnie z chińskim określeniem, jak „jądro chaosu". Wtedy nieraz przychodziło uderzenie z zewnątrz. Przepadała jedna dynastia. Pojawiała się druga. Raz swoja, raz obca. Ostatnia była mandżurska, co zawsze budziło zdziwienie historyków z uwagi na to, że Mandżuria była państewkiem małym a Chiny kolosem. Ale sądzę, że udało jej się zwyciężyć Mingów w tych szczególnych momentach chińskich dziejów, kiedy kraj był tak strasznie synami nieba swojego chowu zmordowany, że nie czuł się na siłach ich bronić.

Ufał nowym. A ściślej mówiąc, wierzył, że ufa im niebo, które się zawiodło na starych. Jednak za każdym razem to były tylko miłe złego początki. W atmosferze przebudzonej nadziei i przypływu zaufania naród się dźwigał. Pierwszy dynasta nieraz okazywał się człowiekiem bardzo zdolnym. Ale że był na niebieskim tronie człowiekiem nowym, przykładał się do starych, bezmiernie kosztownych przepisów tym usilniej, im bardziej pragnął, by zapomniano, że się nie urodził na tym najokazalszym z azjatyckich tronów. I oto grzązł. A jak nie on, to jego syn. Bo już o wnuku to szkoda mówić. Z reguły przekwitłym zanim zdążył dojrzeć, znudzonym zanim zdołał się czymś zainteresować, ślepym na wszystko zanim na cokolwiek otworzył oczy.

Czasem to ten, to ów próbował się wyzwolić, jak ów nieszczęśliwy następca cesarzowej Tsy-si, na którego zaczęły stawiać postępowe koła stolicy, gdyż „lubił oglądać cudzoziemskie książki z ilustracjami oraz atlasy a zwłaszcza globusy". Nic mu z tego nie przyszło. Ani Chinom. Toczył je wówczas ów niebieski rak, bardziej jeszcze dokuczliwy niż w poprzednich wiekach. A dlatego bardziej, że coraz trudniejsze zadania piętrzyły się przed coraz głupszym i bezduszniejszym tronem. I dlatego również, że na rozwiązanie tych zadań czekały już nie dziesiątki, ale setki milionów ludzi. I jeszcze z tego względu, że kraj czekał na rozwiązanie tych zadań nie od kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu lat, ale już od lat kilkuset. Czekano na próżno.

Aż wreszcie przyszedł ten moment, kiedy się stało jasne, że dwór niczego nie rozwiąże. „Jądro chaosu" zakaziło cały kraj. Nonsensy i krzywdy stały się tak krzyczące, że musiały przyjść zmiany. I przyszły z samych Chin wydobyte w postaci na początku śmiałej i zdecydowanej. W dniu pierwszym stycznia 1912 roku powstała w Nankinie sunjatsenowska republika. Ale w sześć tygodni później zgłasza się do „miasta zakazanego" 47 mandżurskich wielkich panów i generałów. Oni już zrozumieli, że cesarz jest nie do uratowania. Chcą ratować własną skórę. Skórę, i mienie, i wpływy. A to za pomocą starego, wypróbowanego manewru, przedstawiając cesarstwu rachunek, za który przecież nie oni zapłacili, bo zapłaciły masy. Ale manewr ten się udaje. Udaje się i procentuje. Przy tych i innych zmianach i konfiguracjach przez blisko czterdzieści lat. Najpierw procentuje tym różnym wielkoziemiańskim mandarynom i dygnitarzom, którzy zagęściwszy dawnego cesarza w jednej połowie jego pałacu, w drugiej zamieszkali jako wielkorządcy.

A potem procentuje Czang Kai-szekowi, który manewruje jednak inaczej. Odcina się od wszystkiego co miało wspólność z dawnym dworem. Wierzy tylko w wielki kapitał. Jest to znowu dla całych Chin bardzo kosztowna wiara. A nawet jeszcze kosztowniejsza niżeli ów dwór cesarski, który też Chinom od setek lat nic nie dawał. Bo Czang Kai-szek był zmodernizowaną pijawką. I oczywiście groźniej-

(Dokończenie na str. 2)

Z TEKI CHIŃSKIEJ ANDRZEJA STRUMIŁŁY

W pekińskim Instytucie Mniejszości Narodowych

Stuletnia droga przez mękę

(Dokończenie ze str. 1)

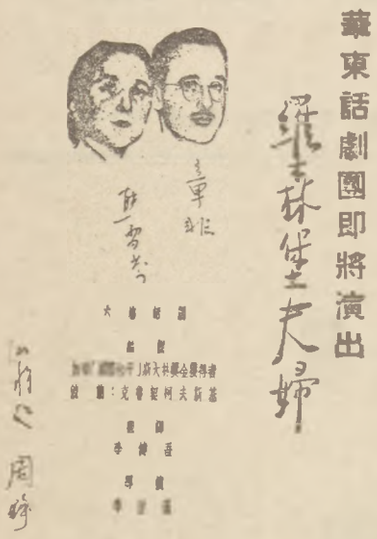

szą. O tyle, o ile od własnego feudalizmu może być groźniejszy cudzy imperializm. Był groźniejszą i niejako podwojoną pijawką. Gdyż będąc rzecznikiem cudzego kapitalizmu krępował w rozwoju kapitał rodzimy. Ten rodzimy chiński kapitał, rodzący się i próbujący skumulować jakieś środki. Był słaby, nie wiele by zdziałał. Lecz przecież pewne zadania, chociaż z przerażającym historycznym uwstecznieniem, mógłby był rozwiązać. Nie rozwiązał, na przemian bity przez amerykański i japoński ciężki pieniądz. I tak przeszło czterdzieści lat, od chwili kiedy Chiny strząsnęły z siebie ostatnią z dynastii synów nieba. I po czterdziestu latach było jeszcze trudniej. Bo zagadnienia, których się na czas nie rozwiąże, nie stoją w miejscu. One się zaostrzają.

Dwór był niewypowiedzianie zagubiony. Nie miał pojęcia, na jakim świecie żyje. Anglia już Indie rzuciła na kolana. Po Indochinach, Filipinach, Malajach hulał kto chciał. A dynasta chiński na noty monarchów europejskich odpowiadał takimi słowy: „O królu! Ty mieszkasz daleko poza granicami licznych mórz, niemniej przeto powodowany pokornym pragnieniem poznania dóbr naszej cywilizacji, wysłałeś poselstwo, które z pełnym szacunkiem przekazało nam Twoje pismo. Poważne zwroty, w które zostało ujęte, ujawniają uprzejmą pokorę z Twojej strony, co bardzo jest godne pochwały. Co się tyczy jednak prośby o akredytowanie któregoś z Twoich poddanych przy moim niebiańskim dworze celem nadzoru nad handlem Twojego kraju z Chinami, to prośba tego rodzaju przeczy wszelkim obyczajom mojej dynastii. Jeżeli wydałem rozkaz, by przyjąć przysłane przez Ciebie w hołdzie podarunki, uczyniłem to jedynie przez wzgląd na uczucia, które pobudziły Cię do wysłania ich z oddali. Wielkie czyny naszej dynastii przeniknęły do wszystkich zakątków świata i królowie wszystkich nacji na lądzie i morzach przesyłają nam cenne dary. Lecz my nie potrzebujemy niczego i również nie przywiązujemy wagi do wyrobów Twego kraju. Albowiem jak Twój poseł może się przekonać, posiadamy absolutnie wszystko".

Pocieszny dokument! Powinszować cesarzowi samopoczucia. Ale trudno powinszować Chinom cesarza! Jakie zaburzenie poczucia rzeczywistości. Kancelarie dyplomatyczne nie znają tego rodzaju świadectw, raczej już archiwa psychiatryczne!

Lecz pocieszny ten dokument być przestaje, kiedy się pomyśli o dalszym ciągu dziejów chińskich. Albo kiedy się zestawi jedno tylko słówko z cesarskiego listu, słówko „wszystko", z tyloma zdumionymi opisami wnętrza garnizonów mandżurskich, do których świadkowie chińscy wtargnęli dopiero po sunjatsenowskiej rewolucji. „Łuki i strzały leżały u stóp rycerzy mandżurskich, zwalone w wielkie stosy przez bojowników rewolucji — pisze jeden z nich. — Była to ongi groźna broń, którą pradziadowie tych rycerzy podbili Chiny za dynastii Mingów". Piękna siedemnastowieczna broń, muzealna. Spoczywała przez trzysta lat w równie zabytkowych arsenałach jako niemal że jedyna broń cesarstwa!

A przecież to już był rok 1911! W siedemdziesiąt lat po pierwszej wojnie opiumowej. W pięćdziesiąt kilka po drugiej. W pięćdziesiąt lat po trzeciej. Po tych wojnach haniebnych, w których Stany Zjednoczone i Francja pod przewodem Anglii walczyły — i to bez innego pretekstu, bez żadnej maski, po prostu — o legalizację wwozu do Chin zabronionego prawami krajowymi opium. Po tych wojnach, po których do dzisiaj jeszcze angielska opinia publiczna czuje się nieswojo, skoro w każdym nowym wydaniu musi ją uspokajać „Encyklopedia Brytyjska" zapewniając, że ten narkotyk bynajmniej nie jest szkodliwy, byle go nie palić bez opamiętania. Jakże jednak w to uwierzyć, kiedy zaraz dalej tam się mówi, że przeciętny roczny wwóz opium kosztował Chiny sto pięćdziesiąt milionów dolarów! Wobec tej sprzeczności wolę już uwierzyć zapewnieniom innego Anglika, owego Martina Montgomery, którego Karol Marks cytuje w artykule „Handel opium". Martin Montgomery tak powiada: „Co tu dużo gadać, handel niewolnikami był w porównaniu z handlem opium miłosierny; nie zabijaliśmy Murzynów afrykańskich, ponieważ w naszym interesie leżało utrzymanie ich przy życiu, nie rujnowaliśmy ich ludzkiej natury, nie niszczyliśmy ich umysłu, nie uśmiercaliśmy im duszy. Natomiast sprzedawca opium zabija ciało po uprzednim zdeprawowaniu, poniżeniu i zrujnowaniu moralnej istoty nieszczęśliwych grzeszników; co godzina składa nowe ofiary nienasyconemu Molochowi, a zabójca-Anglik i samobójca-Chińczyk rywalizują z sobą w składaniu ofiar na jego ołtarzu".

Nieraz będąc w Chinach myślałem o tych wojnach. I w ogóle o całym tym stuleciu pomiędzy pierwszą z tych wojen a pierwszym rokiem wojny narodowo-wyzwoleńczej chińskich komunistów. Myślałem o niewiarogodnych krzywdach zadanych temu narodowi. Myślałem i przypominałem sobie dawne studenckie rozmowy z hinduskimi kolegami, jeszcze londyńskie. Mówili mi, że czy w Ameryce czy w Europie przy oglądaniu wspaniałości i bogactw różnych metropolii zawsze ich wewnątrz korci pytanie, ile z tych wspaniałości i które mianowicie powstały za „kolorowe pieniądze". „Za jakie?" — zdziwiłem się po raz pierwszy usłyszawszy to określenie. „Jak to za jakie, za brunatne, za miedziane, za czarne, za pieniądze wyciśnięte z ludów kolorowych!" No więc, rzecz prosta, że i za żółte. Przypominałem sobie te rozmowy i teraz samotnie przechadzając się po chińskich najnędzniejszych zaułkach odwracałem to stare pytanie Hindusów. Tak! To pewna! Chiny w ciągu owych stu lat miliardy dopłaciły do swoich interesów z zachodnim światem. Frontony różnych europejskich wspaniałości oglądać można po świetnych i cywilizowanych ulicach, tu zaś można oglądać niejako tych frontonów kuchnię. Podszewkę całego olbrzymiego świata żyjącego w luksusach i wyrafinowaniach. Podszewkę bardzo brudną.

Ko ciekaw szczegółów, niech weźmie do ręki poważny „Zarys nowożytnej i współczesnej historii Chin" uczonego radzieckiego G. Jefimowa, a jeśli nie chce ślęczeć nad książką uczoną i ciekaw jest autorów z innego kręgu, może sobie nawet sięgnąć po „Dzieje 400 000 000 narodu" M. A. Nourse, przełożone z amerykańskiego oryginału i opublikowane przed wojną w „Bibliotece Wiedzy". Po tym co powiedziałem, odszuka okres, o którym mówię, nie bez trudu. Bowiem opisany jest w rozdziale „Rozkwit handlu zagranicznego Chin" Zaskakujący tytuł. Tak samo jak jest zaskakujące jego zakończenie, dumne, że w rezultacie faktów, których A. M. Nourse bynajmniej nie tai, nareszcie „mogli się teraz w sprawach handlowych Chińczycy spotykać z cudzoziemcami jako równi z równymi".

A tymczasem pasywa tego handlu były przerażające. W ciągu stu lat odpłynęło z Chin całe srebro, kruszec stanowiący w tym kraju podkład monetarny. W ciągu stu lat ze skarbów sztuki, w które Chiny były tak bogate, pozostało zdumiewająco niewiele. W muzeach Mukdenu, Pekinu, Kantonu wciąż słyszeliśmy to samo: „Oto kopia". „A oryginał?" — pytaliśmy. „W Nowym Yorku". „W Londynie". „W Paryżu". W ciągu tych stu lat wartość wszelkiej pracy fizycznej spadła tak, że na przykład, w basenach czy przy nabrzeżach chińskich ładowano i rozładowywano tylko ręcznie. Nie istniały dźwigi, nie istniały transportery ani rurociągi. Nic z tych urządzeń charakterystycznych dla wszelkich portów. Bo w Chinach człowiek był ponad wszystko tańszy. Inwestować nie opłacało się. Jeśli tak było w portach, domenie obcego kapitału, cóż wspominać o terenach oddalonych od morza. O dorzeczach górnego biegu Huangho czy Jangtsekiangu, tych dwu potęg szalonych, których europejskie czy amerykańskie siostrzyce oddawna wzięto w karby.

Tu nie opłacało się! W Czungkingu rozmawialiśmy z robotnikiem, którego w ciągu czterdziestu lat siedemnaście razy zapisywano na listę ewentualnych robót linii zaprojektowanej do Czengtu. Ale kolej ta pozostawała na papierze, aż do ubiegłego roku. Przedtem się nie opłacała! Nawet rządom Czang Kai-szeka, który miał tutaj przez tyle czasu stolicę. Nie opłacało się niczego budować na nowo. Nie opłacała się nawet konserwacja. Nawet konserwacja prastarych tam, kanałów i urządzeń irygacyjnych, cudów techniki sprzed lat tysiąca, lecz bezradnych w dobie dzisiejszej zarówno na skutek swego wieku, jak i wskutek głębokich przemian w łożyskach chociażby tych wspomnianych przed chwilą rzecznych potęg. Obcym się nie opłacało. A same Chiny, nawet w momentach kiedy ster państwa ujmowali w ręce ludzie uczciwi, nie posiadały pieniędzy. Bo skądże mogły mieć, kiedy obcy kapitał nie popuszczał. Przez sto lat kolosalna część dochodu narodowego ginęła w jego kieszeniach. I ginęła dla Chin bezpowrotnie, ponieważ ten dochód odpływał za morza.

Sceptyczny wobec inwestycji, minimalną wartość przypisujący pracy robotnika chińskiego, obcy kapitał cenił sobie wysoko sam interes. Jak bardzo go sobie cenił, wynika z gwałtowności, z jaką rzucał się, by podwaliny tego interesu założyć, a później, by się przy nim utrzymać. Bajońskie kontrybucje płacił naród chiński za każdym razem, gdy usiłował wyzwolić się z kleszczy owego, zdaniem M. A. Nourse, tak idyllicznego handlu „równych z równymi". Rządy, na którymi stał kapitał, nie przebierały w środkach. Raz po raz lała się krew żółtych. Okrucieństw przy zdobywaniu Szanghaju w r. 1842 czy 1860, 1864 czy 1904, w 1912 czy w 1924 i tylekroć jeszcze później niesposób opisać. Ani okrucieństw niepodobna opisać ani barbarzyństw choćby przy dzikim marszu na Pekin z roku 1900. „Nie dawać pardonu, nie brać jeńców. To miasto powinno być zmiecione z powierzchni ziemi!" — telegrafował wtedy do marszałka Walderssego, dowódcy oddziałów niemieckich w Chinach, Wilhelm II. Pekin nie spłonął. Ale nikczemności i wandalizmu jego wojsk, jak również japońskich, angielskich, amerykańskich, francuskich nikt sobie nie umiał przez lata w Europie wyobrazić.

A przecież przyszły lata jeszcze gorsze. Bo dopiero po roku 1921, po powstaniu Komunistycznej Partii Chin zaczął się okres najsroższy. Gdyż od tej chwili dopiero wielki, miażdżący obcy kapitał poczuł się naprawdę zagrożony. Do tego momentu tylko łamał opór s t a r y c h Chin, niedołężnych, utopijnych, zagubionych. Albo też stawiał czoło poważnym a czasem nawet potężnym ruchom oddolnym, lecz pozbawionym kierownictwa na miarę chwili. Bić się musiał, ale mógł się nie bać ani tak pełnej rozmachu chłopskiej rewolucji, jaką było powstanie Taipingów, ani również nawet wspaniałego ruchu ludowego, zapoczątkowanego przez tajne związki, jak „Związek Wielkiego Miecza", „Pięści Kwitnącej Śliwki" i „Pięści Sprawiedliwej Zgody", od których to pięści poszła nazwa powstania Bokserów.

Lecz komunistów się przestraszył. Wiedzieli czego chcieli, mieli cel, mieli w całym świecie towarzyszy, mieli oparcie w stopniowo krzepnącym Związku Radzieckim, znali taktykę. To już nie były przelewki. Z murów, z ogrodzeń, z plecionych mat zastępujących drzwi lepianek, krzyczały tysiącami pisane i drukowane hasła: „Ryż — robotnikom", „Ziemia — chłopom", „Cała władza w ręce Robotników, Chłopów i Żołnierzy"!, „Precz z wyzyskiem imperialistów!" Komuniści stawiali sprawę jasno. Można było sobie w ich szeregach wprawdzie znaleźć jakiegoś zdrajcę, ale nie można było przekupić partii. Szanghajskie Wampu-lu, ta chińska Wall Street nie miała co do tego wątpliwości. Toteż z komunistami nie próbowała paktować. Innych sposobów się imała. Wtedy to właśnie znalazła sobie wiernego sztromana w osobie Czang Kai-szeka, który dawnych towarzyszy broni zdradził. W sposób poważny powiększyła marżę zarobkową wielkich kapitalistów chińskich. Teraz i oni zaawansowali na światowych multimiliarderów. Było takich rodzin multimiliarderskich c z t e r y. Niewiele, zwłaszcza że w tej czwórce musieli się zmieścić również państwo Czang Kai-szek, mąż i żona; ale z pomocą tych czterech rodzin można było kontrolować wszystkie dziedziny trudne, kłopotliwe a czasem i niedosiężne dla kapitału obcego. To obmyślił wielki kapitał dla wybranych.

A dla mas? A dla proletariatu miast, którego świadomość z roku na rok stawała się dojrzalsza? Na to pytanie kto wie czy nie najlepiej nam odpowiadały chińskie Muzea Rewolucji. W Mukdenie, Czangkingu, w Tientsinie, w Szanghaju, w Kantonie. Zwiedzając je przechodziliśmy krok za krokiem od dokumentu do dokumentu, od fotografii do fotografii, od eksponatu do eksponatu. Niemej ich wymowy nie da się przełożyć na język ludzki. Zwłaszcza wymowy zdjęć. Sprzed lat dziesięciu, piętnastu, dwudziestu dokonywanych z narażeniem życia, przechowywanych w ukryciu, zdjęć które do dzisiaj zdają się krwawić. Oto na przykład cykl Komuny Kantońskiej. Jest to rok 1927. Już po zdradzie Czang Kai-szeka, bo Komuna była zrywem przeciw tej zdradzie. Wybuch jej nastąpił w dniu 11 grudnia. Trwała trzy dni. Zdjęcia obejmują dzieje tych trzech dni i miesięcy krwawych porachunków z Komuną po jej zdławieniu.

Oto okręty wojenne, amerykański „Sacramento" i angielski „Moreon", które dowiozły wojsko. A oto wysłannik Czang Kai-szeka, Wang Ching-wei, ten który zapewnił swoich mocodawców, że „zawsze lepiej się opłaci wymordować tysiące ludzi Bogu ducha winnych, niż wypuścić na wolność jednego zwolennika komunizmu". A na dalszych zdjęciach oglądamy tego zbrodniarza wprowadzającego w czyn swoje zasady matematyczne. Wytracił wtenczas jedenaście tysięcy mężczyzn i trzy tysiące kobiet. Oślepiał, wiązał kolczastymi drutami i topił albo palił. Po cóż mówić więcej. My to w Polsce znamy. Znamy te metody z czasów okupacji. To jest przecież faszyzm. Patrząc na te zdjęcia okropne i wyblakłe powtarzamy ten wyraz. To — faszyzm! Zwykły faszyzm! To są jego sposoby! Wtedy towarzyszący nam przyjaciel chiński powiada: „Nie! To są po prostu sposoby aplikowane w koloniach! Jak ich strach ogarnął, przenieśli z kolei te metody na Europę. Dlatego u nas wielu prostych ludzi sądzi, że faszyzm nie jest niczym więcej niż stosowaniem tych samych metod do białych, które na przykład w naszej części Azji stosowano tylko do żółtych".

Zbieżność jest tak uderzająca, że pchają się nam na usta stare terminy. Czy tu, w Kantonie czy w Czangkingu czy w Szanghaju, kiedy patrzą na nas z fotografii podobne umęczone bardzo ludzkie oczy albo też na odwrót — fiksują nas pełne i pogardliwe spojrzenia rasy panów. Przed piękną willą amerykańskiego doradcy prawnego przy Czang Kai-szeku prężą się właśnie tacy dwaj na rozkraczonych, krzepkich nogach. Na placu przed willą żywego ducha. Tylko z dziesiątek gołonogich, kosookich, chudych trupów. A oni stoją, ci dwaj biali żołnierze, wyzywająco obojętni. Jak w czas łapanek, wywózek czy rozwałek stali przed hitlerowskimi siedzibami lub mieszkaniami na warcie akurat tak samo obojętni gestapowcy.

Ujrzeliśmy także doradcę. Ujrzeliśmy go w przenośni, ale za to żywego, z krwi i kości. Zobaczyliśmy go na scenie. I to w sztuce, którą wszyscy znamy. Bo to sztuka nasza. Sztuka Leona Kruczkowskiego. Mówię o „Juliuszu i Ethel". Zagrano ją w Szanghaju na scenie objazdowej. Jest to zresztą najpopularniejszy typ spektaklu w Chinach. Słynną klasyczną operę jeszcze do początków bieżącego wieku oglądało się jedynie na przedstawieniach dworskich lub też właśnie objazdowych. Trupa, która wystawiła Kruczkowskiego, zwąca się „Teatralnym Klubem Objazdowym Południowych Chin", wygrawszy rzecz na prowincji powróciła akurat do miasta. Spektakl już zszedł z afisza. Lecz usłyszeliśmy, że wzięto go ponownie na warsztat, nosząc się z zamiarem, by sztukę po poprawkach wznowić, tym razem już tylko na Szanghaj. Taki nieraz bywa tutaj rytuał. Na prowincji prapremiera i chrzest bojowy. W centralnych ośrodkach życia politycznego i kulturalnego prezentacja utworu dramatycznego w formie po wszystkich krytykach i retuszach zafiksowanej.

Kiedyśmy przyszli z Janem Kottem do siedziby „Klubu", zespół pracował nad scenami „prokuratorskimi". Przyznam się, że chiński Wayne w pierwszej chwili niemile mnie uderzył. Pamiętałem Aleksandra Żabczyńskiego. Był wcieleniem gładkich manier i poprawności w każdym calu. Żabczyński wykroił go jak z żurnala czy z amerykańskiego salonowego filmu. Taką zresztą nadał formę treściom znalezionym w kwestiach Kruczkowskiego, powiedziałbym, w pełni „obiektywistycznym". Bodajże raz czy dwa razy w całym tekście sztuki ten amerykański prokurator pokazuje pazury. Raz w krótkim wybuchu wściekłości, kiedy wymyśla pokonanego, złamanego Greenglassa. A po raz drugi, kiedy na pożegnanie z obrońcą Rosenbergów Blochem rzuca mu ironiczną uwagę i słyszy od niego: „Mr Wayne, przez takich ludzi jak pan wstydzę się, że jestem Amerykaninem!", a od dyrektora więzienia: „Wayne, pan jednak umie wybijać ludziom zdrowe zęby!"

Jednak umie! Czyli inaczej mówiąc, pomimo wszelkich pozorów. Pomimo całej wytworności, taktu i opanowania. A także niezależnie od tych wszystkich filozoficznych paradoksów i psychologicznych fioritur, których mu nie poskąpił Kruczkowski. Otóż u nas prokuratorzy Wayne, w Warszawie czy, jak słyszę, i nie w Warszawie, oparli rolę na tych pozorach. Natomiast Chińczyk Chiang Chaw, aktor świetny, wyprowadził ją z owego „jednak". Od pierwszych akcentów Chianga spojrzeliśmy na siebie z Kottem. On sięgnął po pióro, ja swoim zwyczajem po ołówek, by zanotować pierwszą uwagę, jaka się nasunęła do późniejszej dyskusji. W pośpiechu zapisałem: „Amerykanie charakteryzowani za grubo". Ale wnet się zreflektowałem, że przez pośpiech zredagowałem zdanie nie dobrze, uogólniając lekkomyślnie. Przecież i Tsang Fei, uneryiony i natchniony Juliusz, grał Amerykanina. Przecież i śliczna Chou Sien-ching, głęboko ludzka i tak bardzo kobieca Ethel, grała Amerykankę. Był i Monter i Dozorczyni, z drugiej strony Sędzia i Dyrektor również znacznie ostrzej niż u nas z Rosenbergami i służbą więzienną skontrastowani.

Przyglądaliśmy się zwalistym murom, kratom w głębi sceny, dzielącej je przestrzeni odmierzonej z nieomylnym wyczuciem perspektywy cechującym Chińczyków. Przyglądaliśmy się aparatowi telefonicznemu jarzącemu się na tle krat swoją, jeśli tak można powiedzieć, jaskrawą bielą, wyeksponowanemu zresztą w ten szczęśliwy sposób dopiero po przeróbkach szanghajskich. Przyglądaliśmy się drugiej plamie jasnej w tej szarzyźnie więziennej, dużemu, również lśniącemu się fotosowi Michaela i Roberta nad pryczą Ethel. Przysłuchiwaliśmy się sugestywnym i wycieniowanym efektom akustycznym, przeciągłemu chrobotowi klucza najpierw u dalszej z krat, potem u bliższej. Albo w scenach z drugiej, czwartej czy szóstej odsłony, a więc w scenach pomiędzy Juliuszem i Ethel, mistrzowskiemu operowaniu zegarem, który tykaniem przypominał o sobie, złowieszczo i wyrocznie nasilającym się, ilekroć na scenie zapadało milczenie.

A potem znowu całą uwagę skupialiśmy na aktorach. Grali bez szminki. Nie ucharakteryzowani na białych. To znaczy przede wszystkim bez przyprawionych nosów, bowiem długość nosa a bynajmniej nie kolor skóry jest w widzeniu Chińczyków cechą dla białych specyficzną. Przecież owe tha-piz, zelżywa nazwa na przybysza z Europy czy Ameryki, to właśnie — wielkonosy. Chińskość twarzyczki Chou Sien-ching i chińskość rysów Tsang Feia szczęściem dla nas nie została przez żadne przydatki zmącona. Patrzymy urzeczeni. Oboje mają tyle finezji a zarazem, co się z finezją trudno łączy, taki ładunek uporu i porywczego, natchnionego fanatyzmu.

I nagle, kiedy się wpatrujemy w te twarze, pojmujemy że Chou i Tsang kreują nie tylko Rosenbergów, ale wcielają tysiące Chinek i Chińczyków, których dzieje tego kraju pchały wciąż w wybór pomiędzy śmiercią a zdradą. Patrzę w zdumieniu i pytam sam siebie, skąd ja znam to spojrzenie ludzkie i przybite Juliusza Tsang Fei czy bezbronne i niepokonane Ethel Sien-ching. A ja znam je przecież z tych wyblakłych muzealnych fotografii szanghajskich, czungkińskich czy kantońskich, fotografii bohaterów tych wszystkich wielkich zrywów strajkowych i fotografii ofiar rewolucyjnych porywów, wydarzeń niezapomnianie zrelacionowanych w ściennych narracjach. A kiedy w jednej ze scen purpurowy z wściekłości Chiang Chow ciska na ziemię cygaro i zdaje się, że lada chwila uderzy, przestaje w myśli zestawiać go z Aleksandrem Żabczyńskim. Oni widać znali tutaj innych prokuratorów i prawników amerykańskich! Znali innych po prostu dlatego, że ich d o z n a l i. Jak choćby owego doradcę z willi, z dojściem przez plac zasłany trupami. Tego, który urzędował w Kantonie w dni po upadku Komuny, kiedy to zginęło, jak również wspomniałem, jedenaście tysięcy mężczyzn i trzy tysiące kobiet!

Oto jest chińska stuletnia droga przez mękę. Bo raczej taki tytuł zaproponowałbym w miejsce forsowanego przez różnych autorów klasy M. A. Nourse. Chińska droga przez mękę wiodła przez wszystkie piekła. Niczego temu narodowi nie oszczędzono. Nawet tego czego oszczędzono nam, narodowi przecież zaprawionemu, jak mało który, do cierpień epoki rozbiorów i mąk epoki okupacji. Nikt jednak nie straszył świata samą myślą o wyzwoleniu Polski. Tak jak go straszono wyrafinowanie prowokatorskim pojęciem „żółtego niebezpieczeństwa". A straszyli możliwą pomstą tego ludu nawet tacy, którzy obłudnie mówili o chińskich krzywdach. Nawet tacy, którzy jak T. Noy powtarzający za Sund I-kuangiem: „Jeśli w ten sposób pójdzie dalej, cały kraj podzielony zostanie przez obce mocarstwa, a naród chiński podobnie jak Żydzi wkrótce będzie bez ojczyzny". Albo też jak H. W. van Loom, który aż „dobrego Boga" prosił, by „miał litość nad nami, jeżeli kiedykolwiek biedne Chiny zdecydują się ruszyć z postępem, gdyż wówczas co za rachunek przyjdzie nam zapłacić!"

Nie! O pomście ten naród nie myśli. Odczuwa się to nie tylko wówczas, kiedy z tkliwością odtwarza bohaterskie postacie Rosenbergów, czy wspomniane przeze mnie epizodyczne postacie z tej sztuki, chociaż to są Amerykanie, ale odczuwa się to dzień w dzień we wszystkich rozmowach i kontaktach. Przeszłość w stosunkach pomiędzy ludami zza mórz i zza dziesiątków łańcuchów górskich a ludem chińskim to rozdział dla Chin zamknięty. Ale pamięć o niej istnieje. Na niej wspiera się nowy dekalog chiński. Z niej wypływa i ta miłość i ta ufność, która każdego Chińczyka wiąże z jego komunistyczną partią. Tą partią, która wyprowadziła go „z domu niewoli". I tą, która daje mu pewność, jakiej łaknął od tylu, tylu lat, prostą pewność, tak celnie sformułowaną przez Mao Tse-tunga w dniu powołania do życia Chińskiej Republiki Ludowej, myślę o owym zdaniu zamykającym jego przemówienie, w którym nie ma nic z szowinizmu, ale jest wszystko ze słusznej i szlachetnej dumy narodowej: „Myśmy się już przebudzili. Odtąd nasz naród nigdy już nie zostanie upokorzony".

Tadeusz Breza

Tsang Fei jako Juliusz i Chou Sien-ching jako Ethel w sztuce Leona Kruczkowskiego na scenie teatru w Szanghaju

LENIN
O REWOLUCJI
1905 ROKU
Artykuły — przemówienia — dokumenty
Str. 684 w oprawie zł 14.—

*

SDKPiL
W REWOLUCJI
1905 ROKU
Zbiór publikacji
Str. XXIII, 590, 14 ilustracji w opr. zł 24.—
Wydział Historii Partii KC PZPR

*

PIĘĆDZIESIĄTA
ROCZNICA
PIERWSZEJ REWOLUCJI
ROSYJSKIEJ
Tezy
Instytutu
Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina
przy KC KPZR
Str. 32. zł 0.40

„KSIĄŻKA I WIEDZA"

k 1226-1

Ankieta „Nowej Kultury"

Pisarze wobec dziesięciolecia

HANNA MALEWSKA:

W literaturze polskiej dziesięciolecia dostrzegam osiągnięcia lub ich zadatki, które można by podzielić na dwie grupy.

1) W okresie 1945—49, na tle żywej wymiany myśli — zwłaszcza pamiętnej w latach 1945—46 — w związku z dojrzewaniem twórczym doświadczeń wojennych, przewartościowaniem dawniejszych pozycji, formowaniem się wyraźnych płaszczyzn ideowych i ścieraniem światopoglądów, przy udziale interesującej publicystyki, zabłysło kilka doskonałych debiutów, a pisarze znani sprzed wojny odświeżali swe środki artystyczne starając się ustalić — mniej lub bardziej głęboko i rzetelnie — swój stosunek do minionych i aktualnych zdarzeń, przeżyć i przeobrażeń ogólnych. Był to okres płodny, co tym mocniej występuje w zestawieniu z następnym, także nie pozbawionym pewnych sukcesów, będących jednak szczęśliwymi wyjątkami na tle sytuacji literackiej, w której błędna formuła sztuki wypaczała zarówno dalszą twórczość pisarzy dojrzalszych, jak i próby młodych. Zbyteczne chyba omawiać szerzej błędność owej recepty. Nigdy sztuka nie mogła być skutecznym narzędziem (o ile w ogóle mamy ją uważać za narzędzie), jeśli jej funkcja przypominać miała rolę łopaty, kilofu czy pistoletu maszynowego, nie zaś sejsmografu, manometru lub busoli. I te ostatnie porównania kuleją, bo na sztukę nie ma przepisu, jak na każde z powyższych narzędzi. Ale przynajmniej swą kruchością i ceną nakazują one ostrożność w manewrowaniu; co więcej, samą ich zasadą jest obiektywizm we wskazywaniu lub „przepowiadaniu" i gdyby się stosowały do życzeń lub nakazów, straciłyby swoją użyteczność.

2) Drugą grupę objawów dodatnich, które dostrzegam w literaturze dziesięciolecia, częściowo tylko można zaliczyć do doraźnych osiągnięć. Są to bowiem przemyślenia, stwierdzenia i bodźce, które stopniowo owocują i zapewne długo jeszcze będą owocowały. Dodatnim faktem wydaje mi się otrząśnięcie się z przesadnej sugestii poszukiwań formalnych za wszelką cenę, przed piętnastu laty tak dalece obowiązujących, że przyczyniły się do oderwania sztuki od jej naturalnego humanistycznego podłoża. Nawet w gałęziach twórczości najmniej z natury „formalistycznych", jak powieść i film, lekceważono dzieła pełne wiedzy o człowieku, jeśli nie legitymowały się w pierwszym rzędzie poszukiwaniami formalnymi. Prawo najambitniejszej nawet sztuki do „realizmu" w sensie zbliżenia się do potrzeb i normalnych odczuwań człowieka, „masowego odbiorcy", podniesione do zasady może być, i bywa, wulgaryzacją, lecz równocześnie jest zdrową reakcją na snobizm wynaturzonej elitarności i fałszywie rozumianej oryginalności, przed którym tylko bardzo silni (lub całkiem mali) twórcy czuli się bezpieczni.

Równie doniosłe na polu literatury a donioślejsze jeszcze w całokształcie kultury wydają mi się przemyślenia pisarzy (między nimi zaś tych, którzy nieczęsto lub oddawna nie publikowali) dotyczące ich roli i obowiązków społecznych jako twórców i jako ludzi; niepełności i fałszu człowieka wyizolowanego sztucznie ze społeczeństwa lub związanego tylko z jakąś jego cząstką; niebezpieczeństw fałszywego idealizmu lekceważącego uwarunkowania i siły materialne — niebezpieczeństw zarówno moralno-społecznych, jak i artystycznych; w związku z tym zrozumienie wielkiego trudu uwalniania się od podświadomie determinujących nawyków myślowych na rzecz coraz pełniejszego uniwersalizmu, czyli oddania wszystkiemu sprawiedliwości bez względu na własną czy grupową skłonność czy interes (cel konieczny, choć nigdy w pełni nieosiągalny). I dla siebie i dla swej sztuki pisarze zyskali wiele, jeżeli stać ich było na pozbywanie się anachronizmów czy wypaczeń własnego sądu i wizji przy jednoczesnym zachowaniu pionu utrzymującego w równowadze wskazówkę wewnętrzną, która ma zawsze szukać punktu obiektywizmu — prawdy. Rewizja własnych, odziedziczonych czy lekkomyślnie nabytych szablonów, w połączeniu z dyskusją, nieustającą także, z wszędzie obecnym plakatem, uzupełniają się i wzbogacają tych zwłaszcza pisarzy, którzy ani nie zamknęli się na klucz, ani nie wsiedli do autobusu, lecz szukają własnej drogi.

Nie znaczy to jednak, by fałszywa formuła sztuki nie wyrządziła u nas dotkliwych szkód, ogólnie już dostrzeganych. Między innymi doprowadziła ona do tak jaskrawych anomalii, jak zignorowanie przez większość krytyki wielkiej powieści Gołubiewa, przynoszącej zaszczyt literaturze polskiej i zajmującej godne miejsce w całej wielkiej tradycji realizmu: jak dalej postponowanie głęboko ludzkiej, wstrząsającej prawdą przeżycia i artyzmu twórczości Adolfa Rudnickiego (którego nazwisko świeci nieobecnością, według trafnego określenia tacytowskiego, na długiej liście pisarzy w tym czasie nagrodzonych). Można by mnożyć przykłady. Najdotkliwiej pokrzywdzeni są młodzi. Nie każdy od początku swojej drogi pisarskiej znajduje w sobie zasoby chroniące go zarówno przed obojętnością czy ślepą negacją, jak przed używaniem pióra niezgodnie z jego przeznaczeniem. Nie cieplarniane „pędzenie" i nie szkółka wyrabiają zdolność korzystania z każdej gleby, nie lękania się konfliktów wewnętrznych i zewnętrznych, cierpliwości twórczej i prawdziwej odpowiedzialności społecznej.

Hanna Malewska

ADAM WAŻYK:

Rynek czytelniczy pochłania nakłady klasyków w ciągu kilku dni. Niektóre powieści współczesne rozchodzą się w wielotysięcznych nakładach. Statystycy nie doceniają rzeczywistych nakładów poezji. Mówiąc o rzeczywistych nakładach mam na myśli rozpowszechnienie wierszy przez radio, ekipy artystyczne, recytatorów. Poszczególne wiersze docierają tam, gdzie jeszcze nie dotarły inne gatunki literackie. Nowe czytelnictwo, czytelnictwo narodowe, dopiero się wytwarza i głód książki rośnie. Literatura znalazła się w nowej sytuacji. W tej sytuacji produkcja literacka dziesięciolecia wydaje się sztucznie uszczuplona, uboga w zainteresowania, za mało urozmaicona. Potrzeby duchowe człowieka są znacznie bogatsze, wielostronniejsze, niż to zakładano u nas w ostatnich latach. Odpowiadają temu rozmaite gatunki literackie. Dlatego słyszymy wołanie o nowelistykę, o komedię, o farsę, o powieść sensacyjną. Ale sprawa nie kończy się na kwestii „lekkich" gatunków literackich.

W ostatnich latach nad życiem literackim ciążyło zjawisko, które można określić pokrótce jako komenderowanie. Była to pewna metoda regulowania życia literackiego i propagowanie realizmu socjalistycznego, metoda niedobra, prawdopodobnie bardzo niezgodna z obiektywnym prawem rozwoju literatury, którego zresztą nikt nie badał. Dziesięciolecie zbiegło się z kresem tej anomalii. Czy to wystarczy, aby życie literackie nabrało szerokiego rozmachu?

W rezolucji powziętej na zjeździe pisarzy radzieckich przeczytałem postulat: „Konieczna jest rywalizacja nurtów artystycznych". Ten postulat, który wyrósł z dojrzałego namysłu jako wniosek wyciągnięty z wieloletniego doświadczenia życia literackiego w Związku Radzieckim, powinien nas żywo obchodzić. Znalazłem w nim odpowiedź na wiele pytań, które niepokoiły mnie od dłuższego czasu. Dlaczego nie ma eseistyki literackiej? Esej zniknął nawet w konwencji wydawniczej. Miała go zastąpić „unaukowiona" krytyka literacka. Dlaczego nie ma trwalszych, żywotnych dyskusji literackich, które by czytelnicy śledzili z prawdziwym zainteresowaniem? Samo nawoływanie do dyskusji nie wystarczy. Tam gdzie nie ma nurtów artystycznych, wytwarza się rozstrzelone wielogłosie, rozgardiasz, w którym zainteresowani nie mogą dojść do samouświadomienia swoich aspiracji artystycznych, a czytelnik nie wiele z tego spamięta.

Od dłuższego czasu idzie na całego walka ze „schematyzmem". Tak nazwano pewne zło, któremu przeciwstawia się hasło — bliżej prawdy, bliżej życia. Hasło po stokroć słuszne, tylko że kampania toczy się poza wszelką myślą literacką. Warto się nad tą luką zastanowić. A oto głoszone od pewnego czasu „prawo do eksperymentu". Odczuwam w tym coś zawstydzającego. Czymże jest wobec tego literatura poza owym „eksperymentem"? Widocznie robotą kopistów, imitacją, powielaniem kliszy, szarością „samą w sobie". Oczywiście literatura w lepszych swoich przejawach nie tak wygląda, ale tak wygląda estetyka w nieobecności nurtów artystycznych. „Prawo do eksperymentu" jest zrozumiałe tylko na tle uniwersalnej, wzorcowej, dogmatycznej estetyki, która chciałaby zastąpić żywą myśl literacką, rozwijającą się w bliskim sąsiedztwie z praktyką. Nikt takiej estetyki nie zbudował, bo literatura jest zbyt żywotna, ale poczynając od warszawskiego zjazdu literatów w roku 1950 (na którym wygłosiłem ponury i głupi referat), zanikła myśl literacka, wywiązał się kurs nad jakąś estetyką uniwersalną, wzorcową, wstydliwie dogmatyczną. Opór był utrudniony, niekonsekwentny. „Prawo do eksperymentu", to nieśmiała próba wyłomu. Wyłom nie ratuje sytuacji. Trzeba pogrzebać widmo wzorcowej estetyki. Słowem, konieczna jest rywalizacja nurtów artystycznych.

Co przez to rozumiem? Nadeszła taka chwil w życiu literackim, kiedy odczuwa się niechęć do teoretycznych uogólnień. Tak ich nadużyto, tyle słuszeliśmy sformułowań mało przydatnych, nie grających z praktyką. Ale bezradna rezygnacja z teorii nie wróży nic dobrego. Przychodzi mi na myśl kilka próbnych uogólnień. Może się na coś przydadzą.

Wartościowa literatura przeszłości była realistyczna. Realizm żadnego typu, żadnej epoki, nie był pełny, doskonały, wzorcowy. Realizm socjalistyczny ma ambicję świadomego odtwarzania życia w rewolucyjnym rozwoju. Ambicja ta rozmaicie przełamuje się w poszczególnych gatunkach. Mamy prawo korzystać z wszelkiego doświadczenia dawnego realizmu. Nie można ograniczać tego doświadczenia żadną formułą. Konkretyzacja estetyczna może występować tylko na prawach nurtu. Znakomity krytyk X. głosi na przykład hasło: „Typowe postacie w typowych sytuacjach". Oczywiście to hasło nie ma sensu w odniesieniu do liryki, do groteski, do wielkiej metafory scenicznej, do tysiąca innych zjawisk literackich. Może jednak krytyk X. występować jako herold pewnego nurtu w powieściopisarstwie, w nowelistyce, w dramaturgii. Nurt może się wywiązać dopiero wtedy, kiedy to hasło obrośnie w inne jeszcze postulaty literackie i kiedy krytyk X. skupi dokoła siebie pisarzy, którym odpowiadają „typowe sytuacje". Wtedy zdanie wyciągnięte z listu Engelsa nie będzie interpretowane wbrew duchowi Engelsa i nie będzie straszakiem dogmatycznej estetyki. Na przykład inny krytyk Y. głosi, że realizm socjalistyczny powinien się rozwijać w obrazach groteskowych i paradoksalnych. Jeśli ma się to odnosić do całej literatury, to postulat krytyka Y. jest równie obłąkany jak postulat krytyka X. Ale jeśli przejdziemy na prawo nurtów, to okaże się, że obaj krytycy są zupełnie normalnymi ludźmi, którzy mają swoje upodobania artystyczne. Wątpię zresztą, czy wymienione hasła mogą pilotować nurty. Raczej rozpłyną się w bardziej konkretnej, bardziej związanej z praktyką eseistyce literackiej.

Nasze doświadczenie, chociaż skromniejsze i małoletnie, potwierdza jednak wniosek, do którego doszli pisarze radzieccy. Rywalizacja nurtów artystycznych — to rozbudzenie dynamiki życia literackiego. Poezja — probówką, esej — pilotem, utwór sceniczny — statkiem zwiadowczym. W rywalizacji nurtów najbardziej zainteresowani są poeci, eseiści, dramaturgowie, względnie mniej zainteresowani — pisarze uprawiający wielką powieść epicką, obyczajową, chociaż i to nie jest pewne. Nic dziwnego, że w okresie wzorcowej estetyki, która nie dopuszcza do wywiązywania się nurtów, faktycznie wszystko kręciło się dokoła wielkiej powieści epickiej. Abstrakcyjne rozważania o bohaterach i konfliktach, o rozkładzie jasnych i ciemnych stron życia dotyczyły tego ideału powieściowego i podporządkowanej mu dramaturgii. A inne rodzaje i gatunki? Pisarze są to ludzie władający piórem. Czy nie można ich zebrać w jedną szkółkę, wyłożyć im kilka pryncypiów estetycznych i nakłonić do robienia „wielkich epickich płócien"? Kto od prozy, ten napisze powieść. Kto rymuje — ten wysadzi się na poemat. Albowiem tylko to jest godne naszej epoki. O, szlachetna utopio, dziecinna szkółko wielkich form, prymitywna mrzonko! Albo inaczej: z początku przygotujemy estetykę wielkiej powieści epickiej, potem przez analogię rozciągniemy ją na inne gatunki. Z takich analogii rodzi się scholastyka uzupełniająca tę koncepcję literatury, jak również malarstwa, któremu odmówiono prawa do liryki.

Czy przesadzam? Na pewno trochę przesadzam. Staram się wyłuskać nierozumną tendencję, przedstawić ją groteskowo. Fakt pozostaje faktem: rozwój literatury został podporządkowany marzeniom o wielkiej epice, podporządkowany i przygnieciony. Te szlachetne skąd inąd marzenia odrywały teorię od praktyki, pociągały za sobą niepotrzebną zatratę energii na teoretyzowanie i bardzo słabo mogły oddziaływać na rzeczywisty bieg twórczości literackiej. Literaci, nie wyłączając powieściopisarzy, nie znajdywali w tym nic, co by ich interesowało bezpośrednio od strony artystycznej. Nie wydaje mi się, aby można było osiągnąć zbliżenie teorii do praktyki bez rywalizacji nurtów artystycznych. W tym właśnie widzę głęboki sens postulatu, do którego doszli pisarze radzieccy.

Mamy pewne doświadczenia szczególne, wybitnie rodzime, pochodzące z lokalnych warunków rozwojowych. W latach 1945—46 działały dwie pionierskie grupy, ówczesna „Kuźnica" i ówczesne „Szpilki". Po roku 1946 skończył się bohaterski okres „Kuźnicy", nastąpiła degrengolada. W tym bohaterskim okresie „Kuźnica" demaskowała i ośmieszała idealistyczne mętniactwo w kulturze. Zarówno potrzeby tej kampanii jak jej ograniczenia można uzasadnić historycznie: był to okres, kiedy w Polsce spełniały się zadania konsekwentnej rewolucji burżuazyjno - demokratycznej w splocie z elementami rewolucji socjalistycznej. Można wskazać nie tylko ograniczenia myślowe tej kampanii, ale również przykre naloty neopozytywizmu. Przy tym wszystkim kampania rozumnego myślenia robiła swoje. Odeszliśmy daleko od tych czasów; dzisiaj, na innym szczeblu rozwoju potrzebna nam również kampania rozumnego myślenia, inna kampania oparta na zasadach marksistowsko - leninowskich. Spore zapasy idealistycznej eklektycznej myśli literackiej pochowane na kilka lat — teraz wychodzą na rynek. Z drugiej strony w badaniach literatury, w podręcznikach szkolnych, wszędzie po trosze zebrały się elementy magicznego myślenia, wnioski bez przesłanek, uogólnienia per analogiam, szamańskie formuły. Ostatecznie każde błędne uogólnienie jest kukułczym jajem idealizmu. Tropić te uogólnienia, sprawdzać formuły, stawiać znaki zapytania, domagać się wyjaśnień ezopowego języka, odrzucać fikcyjne zagadnienia — taka kampania na pewno by się przydała, zrobiłaby bardzo wiele dla rozwoju myśli literackiej, i pośrednio dla literatury.

Adam Ważyk

TADEUSZ KULISIEWICZ MÓWI PO POWROCIE Z NRD

W TEATRZE BRECHTA

Starszy żołnierz z Brechtowskiego przedstawienia „Kaukaskiego Kredowego Koła" w Berliner Ensemble tak poucza swych towarzyszy broni: „Dobry żołnierz oddaje sprawie duszę i ciało. Kiedy usłyszy rozkaz — staje jak na weselu, a kiedy pika wjeżdża w bebechy nieprzyjaciela — aż w portki leje z radości! Za swego przełożonego dałby się posiekać". Te słowa wypowiadane z utajoną drwiną, tutaj, na gruncie niemieckim, mają głęboki sens polityczny. Widzowie doskonale odczuwają co poeta chciał przez to powiedzieć. Sztuka Brechta, mówiąca wprawdzie o czasach odległych, historycznie niejasnych, jak to bywa w ludowej opowieści, mieści w sobie jednak taki ładunek aktualności, że widz wychodzi wstrząśnięty a zarazem przepojony wiarą w człowieka i jego mądrość. Ten dramat poetycki Brechta, wspaniałe widowisko, jest osiągnięciem choćby przez to samo, że przekonuje o zwycięstwie ludu. Sztukę reżyserował sam autor, oprawa sceniczna, bogata i pełna inwencji Karla von Appen, zaś muzykę skomponował Paul Dessau. W tym naprawdę wspaniałym przedstawieniu każdy drobiazg został starannie przemyślany. I tak, np. cały dwór gra w... maskach. Helena Weigel, świetna aktorka, odtwórczyni roli żony gubernatora, Natelli Abaszwili, gra cały czas w masce. Ma to specyficzną wymowę.

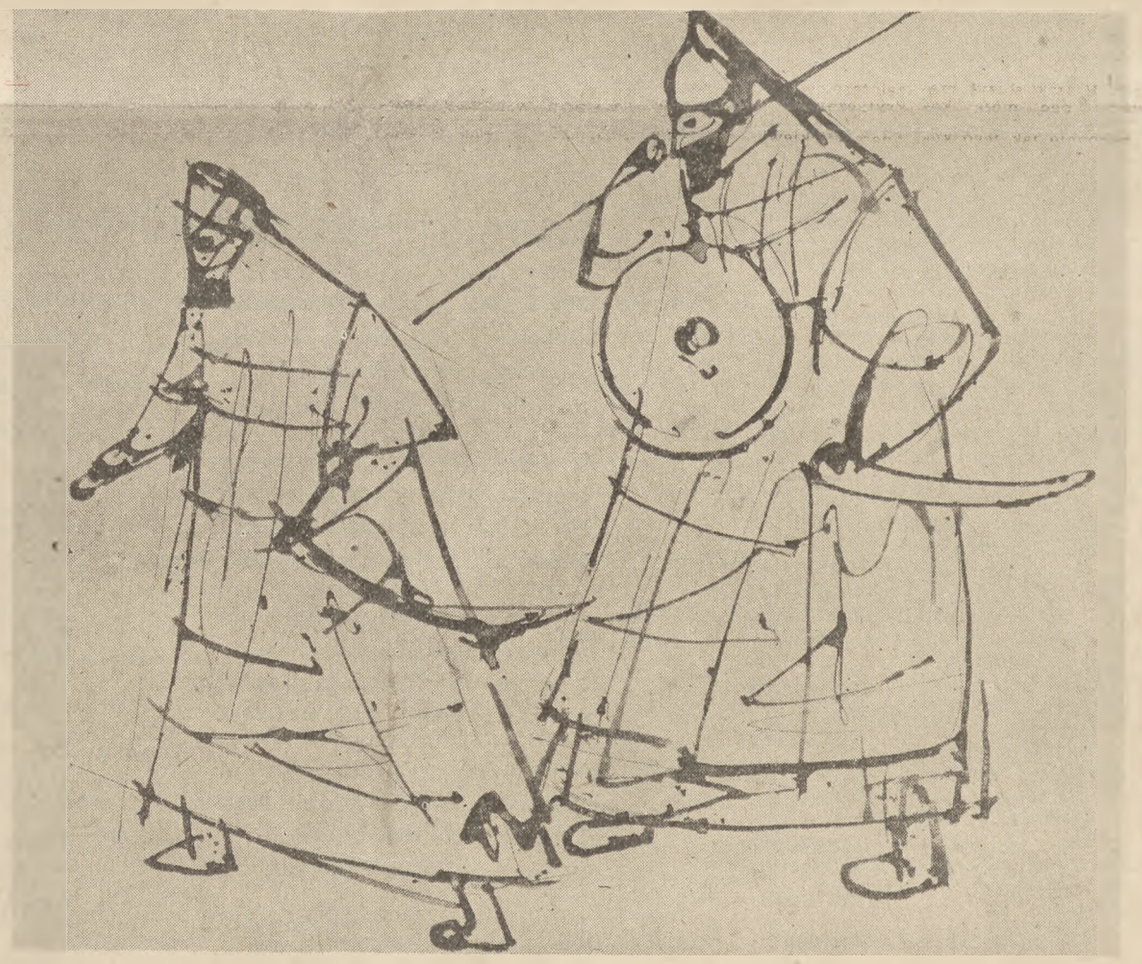

Żołnierze z „Kaukaskiego Kredowego Koła"

Rys. Tadeusz Kulisiewicz

Rys. Tadeusz Kulisiewicz

Helena Weigel w roli żony gubernatora

Niezapomnianą postać pisarza wiejskiego, a potem sędziego Azdaka zagrał wielki aktor niemiecki Ernst Busch, który w Prologu występował jako pieśniarz, Arkady Czeidze. Busch jest aktorem od roku 1920, w latach 1926—1931 był członkiem zespołu Piscatora, następnie wyemigrował i walczył z hitleryzmem, występując przed mikrofonem radia Hilversum, Brukseli i Moskwy. W latach wojny hiszpańskiej znalazł się wśród żołnierzy Brygad Międzynarodowych. Kreacja sędziego Azdaka należy do najwspanialszych jego ról. Również Angelika Hurwicz w roli Gruszy dała świetnie nakreśloną postać. Mówię tyle o tym przedstawieniu, gdyż wywarło ono na mnie wstrząsające wrażenie. Wciąż jestem pod jego urokiem — przyznaje Tadeusz Kulisiewicz, dodając, że zyskał w Brechcie i Weigel serdecznych przyjaciół. — Oprowadzałem ich po swojej wystawie, bywałem u nich za kulisami, zapraszali mnie na długie rozmowy do domu.

Drugim niezapomnianym przeżyciem stało się dla mnie przedstawienie „Bitwy zimowej" Johannesa R. Bechera, noszącej podtytuł „tragedia niemiecka" — oświadcza Kulisiewicz. — Sztuka ta powstała w latach wojny, na ziemi radzieckiej; Becher, rewolucjonista, aktywny uczestnik walki z hitleryzmem znalazł wśród przejętej przez Armię Czerwoną poczty polowej list żołnierza niemieckiego, jakiegoś chłopa z Górnej Bawarii, który pisał do swego ojca, że potem (co tu widział) nie można już żyć jak człowiek. To zdanie stało się przesłanką do napisania przez Bechera wstrząsającego dramatu, którego głównymi bohaterami są Johannes Hoerder, Gefreiter, Ritterkreutztraeger, „nieznany żołnierz" drugiej wojny światowej, oraz Gerhard Nohl, syn drukarza, Oberfeldwebel. Sztukę reżyserował Brecht wespół z Manfredem Wekwerthem, muzyka Hansa Eislera, znakomita oprawa sceniczna Karla von Appen i Dietera Berge.

Kulisiewicz spędził w NRD trzy tygodnie. Był w Berlinie i Dreznie, Lipsku i Naumburgu (wspaniałe rzeźby z XIII wieku w katedrze!) Weimarze i Eisenachu, gdzie zwiedził domek, w którym urodził się Jan Sebastian Bach. W ogrodzie, przed skromnym domkiem, stoi piękny pomnik wielkiego kompozytora. „Przyznam szczerze — mówi Kulisiewicz — że byłem głęboko wzruszony, szkicując domek, w którym urodził się jeden z największych geniuszy muzycznych świata, którego muzykę tak bardzo cenię. To było moje trzecie wielkie przeżycie w czasie tej podróży, która — co może brzmieć nieco zdawkowo — była dla mnie naprawdę dużym przeżyciem. Spotkałem się bowiem z niezwykłą gościnnością i serdecznością".

26 stycznia br. została w Berlinie otwarta wystawa prac Tadeusza Kulisiewicza, którą zainaugurował dr Lothar Bolz, minister spraw zagranicznych, a ponieważ w tym samym dniu rozpoczął się III Kongres Plastyków, więc część gości zjawiła się dopiero następnego dnia, wśród nich Johannes R. Becher, minister Kultury, oraz Paul Wandel, sekretarz KC SED. Wystawa obejmuje 100 rysunków z całego okresu twórczości znakomitego grafika, poczynając od słynnych już dziś drzeworytów szlembarskich po rysunki z Chin Ludowych. O popularności wystawy i uznaniu, jakim się cieszy w Berlinie, niech poświadczą słowa jednego z krytyków: „Kulisiewicz ist ein Meister der Kunst, ein grosser Gestalter menschliches Lebens".

Imb

JOANNA

FRAGMENT DO FILMU

„W najstarszej polskiej ziemi
jakież ludowi więzy?"

(Z poematu „Wisła"
Władysława Broniewskiego)

Dlaczego właśnie kieleckie, sandomierskie, krakowskie?

Te „najstarsze polskie ziemie" są właściwie nieznane — „polskie drogi" i bezdroża, zagubiona wśród nich ogromna ilość zabytków architektonicznych, kulturowych, nawet przemysłowych. Przeszłość przetrwała tu w kształcie widomym, namacalnym. Przyszłość — rysuje się bardzo wyraźnie.

Nie obniża to wartości „wiślanego" materiału, zebranego w innych stronach. Ale tu właśnie jest serce Polski.

*

Wędrowaliśmy dwa tygodnie wojskowym „Gazikiem" po kieleckich, sandomierskich i krakowskich drogach. Zaczęła się ta wiślana wędrówka dawniej — wczesną wiosną na początku kwietnia. Płynęliśmy Wisłą od Krakowa do Gdańska. Podmokłe łąki, pierwsze kaczeńce. Drzewa jeszcze bezlistne, a już kwitnące biało, różowo. Młodziutka zieleń wierzb. Teraz już jesień w pełni. Nitki babiego lata czepiają się błotników, osiadają na szybie. Gorzki zapach opadłych liści. Kolory drzew — od jasnożółtego, poprzez złoty, rudy, do ciemnego brązu. We wszystkich miasteczkach — ogromne ilości ziemniaków zwiezionych na punkty skupu. Wykopki na polach. Pracują całe rodziny. W Koneckim i Świętokrzyskim — niemowlęta w kołyskach z wełnianej zapaski zawieszonej na czterech kijach wbitych w kartoflisko. Wieczorami — ogniska na polach, pastuszkowie piekący ziemniaki w popiele. Zapach dymu. Małe postacie oświetlone płomieniem ogniska.

*

Z kroniki Cyryla i Metodego:

„Pogańsk knędz, siln wielmi, sjedę w Wislje rugaszesę kretjanom i pakosti diejasze..." czyli mówiąc współcześnie: siedział w Wiślicy pogański książę, potężny bardzo, odgrażał się chrześcijanom i wstręty im czynił.

Państwo Wiślan powstało na ziemiach sandomierskich około VII—VIII wieku naszej ery. Stanowiło wówczas potęgę nie tylko gospodarczą, ale i obronną. Słowiańska osada obronna, otoczona podgrodziem, przechowała się w pamięci i tradycji ludowej po dziś dzień pod nazwą Grodziska. Wiele tych grodzisk oglądał w X wieku wędrujący tędy Ibrahim ibn Jakub, którego opowieść zanotował geograf arabski Al Bekri:

„Skierowawszy się ku łąkom, objętym wodami i trzciną, oznaczają Słowianie tam miejsca okrągłe lub czworokątne, wedle kształtu jaki chcą nadać grodzisku i wedle jego rozmiarów. Naokoło wykopują rów, a ziemię wybraną sypią na wał, ubijają deskami i belkami aż do twardości boiska; skoro ściana wału dojdzie do zamierzonej wysokości, odmierzają bramę z dogodnej strony i od niej budują most drewniany przez rów".

Grodzisko w Wiślicy leży istotnie na podmokłych łąkach, ale ząb czasu, zwłaszcza w postaci okopów kolejnych wojen, które się przez tę ziemię przewalały — naruszył je dość poważnie. Kształtu pierwotnego doszukiwać się trzeba wśród jakichś drewnianych budek, usypisk śmieci i dołków. Dziś pasą się tam krowy. Ale są w Sandomierszczyźnie grodziska zachowane w całości. Największe z nich — to Stradów, położony między Sancygniowem a Skalmierzem. Jedziemy więc na poszukiwanie owego Stradowa.

Drogowskaz jest w tych stronach rzeczą zupełnie nieznaną, nie mówiąc już o kilometrażu. Szosa — to pojęcie nie tutejsze. Jedziemy więc polnymi drogami wrzynającymi się w głębokie wąwozy i parowy. Krajobraz typowo sandomierski. Chałupy niebiesko-sine, malowane wapnem, kryte z reguły słomą. Nazwa wsi: Bieglów. Odznacza się ona tym, że wszystkie chałupy, płoty, stodoły i specjalnie w tym celu skonstruowane suszarnie obwieszone są tytoniem. Liście schną na słońcu, związane w pęczki, nanizane na sznurki i zawleczone w paru rzędach jeden nad drugim, jak sznury góralskich korali. Na polach przeważnie buraki. Tytoń i buraki jak wiadomo nie rodzą się na byle jakiej glebie. Urodzajne były ziemie dawnego państwa Wiślan.

A Stradowa jak nie ma tak nie ma. Wreszcie uzyskujemy autorytatywną informację: „Pojedziecie na prawo, potem na lewo, zaraz za figurą, i prosto. Od cmentarza znowu na prawo przez wieś. A potem przejedziecie tylko przez dwa mostki i już".

Na pytanie kierowcy, jakie te mostki, precyzują: „Pierwszy to dobry, a drugiego to wcale nie ma".

Nie było go istotnie, ale od czego „Gazik"?

Stradów leży na odludziu za wsią o tej samej nazwie. Świetnie zachowały się wały, fosa, nawet nasyp pod bramą wjazdową.

Fot. Tadeusz Przypkowski

Otoczone wałami wnętrze grodziska czyli majdan ma około 300 m średnicy. Stromo ścięte wały, konstrukcja fosy wskazują wyraźnie na to, że były jakimś ówczesnym osiągnięciem inżynieryjnym. Widoczność w promieniu dobrych kilkunastu kilometrów na wszystkie strony. Doskonały punkt strategiczno-obserwacyjny. Może to tu a nie w Wiślicy siedział ów „pogańsk knędz" i stąd właśnie „krystjanom pakosti diejasze"?

*

Najstarsze w Polsce zabytki architektury romańskiej — Opactwa Cystersów w Wąchocku, w Sulejowie, w Jędrzejowie, ciosowe, romańskie kościołki z XII wieku w Tarczku i Prandocinie.

Co sprowadziło na te ziemie, już wtedy, średniowiecznych możnowładców kościelnych? Czy tylko zbożna chęć nawracania zbłąkanych w pogaństwie? Nie tylko...

„...Przeważająca część obszarów rudonośnych Zagłębia Staropolskiego znajdowała się w rękach wielkich posiadaczy duchownych i świeckich. Szczególnie feudałowie duchowni, którzy wcześniej od innych poznali wartość dochodową wnętrza ziemi, zabezpieczyli swój stan posiadania w centrum działalności górniczej. Nie lasy i pustkowia, lecz perspektywa eksploatacji rud żelaznych przyciągała w te strony najpotężniejsze instytucje kościoła średniowiecznego — Benedyktynów na Łysą Górę, Cystersów do Wąchocka, biskupa włocławskiego do Łagowa, arcybiskupa gnieźnieńskiego do Kuczelowa, a przede wszystkim biskupa krakowskiego, którego dobra stołowe i kapitulne zalegly kraj od Nidy i Cisowa aż po Jastrząb i Iłżę".

*

Kamieniołom marmurów w Bolechowicach pod Chęcinami. Charakterystyczny czerwonawy odcień kamienia poprzecinanego żyłkami. Trudno go pomylić z innym. Z bolechowickiego marmuru wykonane są odrzwia późno-renesansowego pałacu biskupów kieleckich. Kamieniołom ten czynny jest od przeszło 300 lat.

Jak się ta praca odbywa — teraz? Środków wybuchowych nie wolno używać — psują „fakturę". Wszystkie prace wykonywane są ręcznie: naznaczanie otworów, wykuwanie ich, odłupywanie bloków. Ileż tu trzeba precyzji, doświadczenia, wprawy. Transport — to także zupełny prymityw. Dźwigów żadnych, toru kolejowego tym bardziej. Ręczny załadunek przy pomocy lin i maleńkich bloczków na furmanki i ciężarówki. Mają tu przyjść dwa Derricki, ma być zbudowana bocznica kolejowa. Ma być...

Na razie jednak ma się wrażenie, że odbiorcą tej prymitywnej produkcji jest biskup kielecki Jakub, o zdrobniałym nazwisku Zadzik, nie zaś budowniczowie nowoczesnego MDM.

Inny kamieniołom marmuru, w tymże pasmie gór Zelejowskich — nie czynna już „Zygmuntówka". Stąd wzięto marmur na pierwszą kolumnę Zygmunta w Warszawie. Musiała być z jednej bryły. Transport nie był więc sprawą prostą. Dowieziono ją końmi (ileż ich było!) do Nidy, dalej popłynęła już drogą wodną do samej Warszawy. Pomogła więc Wisła. Nie udało mi się dotychczas dotrzeć do ikonografii tego transportu, która podobno istnieje. Warto jej poszukać.

Pod Pińczowem — ogromne złoża piaskowca. Niektórzy tutejsi mieszkańcy twierdzą, iż z pińczowskiego piaskowca zbudowany jest Kreml i katedra w Kolonii... Złożywszy tę hipotezę na karb lokalnej pińczowskiej megalomanii, warto jednak przypomnieć, że tutejszy piaskowiec był budulcem najczęściej w architekturze Odrodzenia polskiego występującym. W tymże Pińczowie mamy świetnie zachowany budynek dawnej drukarni ariańskiej, o pięknej renesansowej fasadzie, a także budynek poklasztorny Paulinów ufundowany przez Oleśnickich na początku XVI wieku: regularny kwadrat, po 12 okien z każdego boku, dziedziniec wewnętrzny. Zachowały się nawet resztki sgrafitta na fryzie. Świetna renesansowa architektura przetrwała na zamarłym dziś terenie. Gdyby taki budynek „ostał się" w Warszawie czy Krakowie — stałby się rewelacyjnym ewenementem architektonicznym, okurzanym przez konserwatorów miotełką ze strusich piór. Tu — niszczeje bezużyteczny i pusty.

Szosa wiodąca z Pińczowa na Jędrzejów (potworna) wprowadza nas w inną epokę i w jakże inny krajobraz. Kamieniołomy pińczowskie pracują dziś dla Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych ciągnie się egzotyczny krajobraz spiętrzonych kamiennych bloków (warto by zwrócić uwagę — już podczas zdjęć — na odrębność, niezwykłość kolorystyczną tego miejsca). Stąd posyła się do Warszawy gotowe już elementy — misternie wyciosane fryzy, głowice, części attyki. Cały ten obszar — to wielka pracownia kamieniarska. Obróbka jest prosta — miękkie bloki piaskowca tnie się piłą jak drewno i ociosuje siekierką dwusieczną — jedno ostrze gładkie, drugie na kształt koguciego grzebienia. Transport jest jednak przeważnie zmechanizowany. Tu — w przeciwieństwie do Bolechowic — czuje się wyraźnie współczesnego odbiorcę. I to nie byle jakiego — „sam" Pałac Kultury.

Tak wyglądają zalążki nowego na tych prastarych ziemiach. Wróćmy jednak — niestety — do „starzyzny".

*

„...Jeśliby się przytrafiło, żeby który gwarek albo górnik... ważyłby się kraść kruszec tak miedziany jako ołowiany albo inne rzeczy bądź pod kawami (szopami) bądź na hałdziech u płóczków, bądź na jakiem inszem miejscu, za doświadczeniem m a b y ć n a g a r d l e k a r a n." — czytamy w Ustawach i Statutach diecezji włocławskiej z roku 1608. Takie były realne sankcje karne. W dobrach górniczych biskupa włocławskiego nie obeszło się i bez ustawodawstwa... boskiego, w wypadku popełnienia kradzieży. Oto tekst przysięgi górników chęcińskich (źródło i rok — jak wyżej):

„...Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej jedynemu, iż ja wiernie i prawdziwie będę robił koło kruszca, ani żadnego ziarnka tak w górze jako i na płóczkach nic nie wezmę pokryjomu, ani też nikomu nie każę, jeno prawdziwie i oczywiście będę mierzył przy urzędzie kruszce. A jeślibym tę przysięgę złamał, żebym jeno jedną kruszynę tak w górze jako i na płóczkach pokryjomu wziął, aby mnie Pan Bóg na strasznym sądzie karał, **aby mnie skały żywo przywaliły**, na ostatek aby mnie z ciałem i duszą czarci do piekła wzięli..."

Górnictwo kwitło w Polsce w XVI w., dochód ogólny wynosił przeszło milion ówczesnych złotych. Liczba szybów przekraczała czterysta. W Olkuskim i Chęcińskim istniały specjalne organizacje górnicze, gwarectwa, które wywalczyły sobie pewną samodzielność. Gwarectwa kopalni miedzi, rudy żelaznej oraz wytapiania srebra i galmanu (ruda ołowiu) podlegały bezpośrednio królowi. Zastrzegał on sobie pierwokup wytopionego srebra i miedzi po cenie gdańskiej, w zamian za to uwalniał gwarków od ceł i opłat, od mostowego, pogłównego, i dawał im wolny wrąb do lasów królewskich. Gwarkowie płacili do skarbu tzw. olborę, tzn. 10 proc. zdobyczy.

Na przełomie XV i XVI stulecia stary piec hutniczy, dymarka (spotykamy go już w Igołomi — w wykopaliskach sprzed 1500 lat), ustąpił miejsca udoskonalonemu warsztatowi metalurgicznemu zwanego „kuźnicą". Ogromna ilość tych kuźnic koncentruje się nad rzeką Kamienną. Wystarczy powiedzieć, że w latach 1569 — 71 kuźnice samego tylko Staropolskiego Okręgu Przemysłowego dostarczyły 400 wozów żelaza na most w Warszawie, blachy miedzianej na pokrycie Zamku Wawelskiego oraz dużych ilości metalu na eksport.

*

Największym zakładem założonym przez Staszica był Białogon — odlewnia żeliwa, huta miedzi, srebra i ołowiu. Tutaj odbywali praktykę uczniowie Szkoły Górniczej założonej w Kielcach w r. 1816 jednocześnie ze zorganizowaniem tamże Głównej Dyrekcji Górniczej.

Szli drogą Kielce — Białogon. Zaraz za Kielcami zaczynał się krajobraz górniczy, nie taki jednak jak dzisiaj na Śląsku. Nie było tu i nie ma hałd ani szybów kopalnianych. Wszystkie „wyrobiska" rudy, żelaza i miedzi, galmanu i marmuru kryją się w zboczach lesistych gór.

Po lewej stronie drogi, zaraz za Kielcami, sterczą resztki intensywnie eksploatowanego w staszicowskich czasach kamieniołomu wapna. Nazywa się ten kamieniołom Kadzielnia. Jego resztki przypominają wrak zatopionego okrętu, tyle że inaczej w kolorze: górą białe, postrzępione części skał, u ich podnóża brunatna, mętna woda spływająca tu ze stoków górskich. Po przeciwnej stronie drogi barokowy klasztor „Karczówka", wielokrotnie wspominany przez Żeromskiego w jego młodzieńczych „Dziennikach". Jest tu ciekawy posążek górniczej patronki Św. Barbary, wykuty w jednej bryle ołowiu. Pochodzi z XVII wieku i wiąże się ze starą legendą górniczą:

„Pewien g w a r e k okrutnie przez los nękany, biedny i obarczony liczną rodziną, zobaczył jednego razu w lesie 3 aniołów na koniach, poszedł za nimi a ci zapadli się pod ziemię. Uznawszy rzecz całą za wymowny znak niebios, gwarek zaczął kopać w tym miejscu, dokopał się — bogatego złoża galmanu. Z pierwszej wydobytej tu bryły wykonał posążek górniczej patronki".

Siedemnastowieczna geologia posługiwała się więc — jakby z tej legendy wynikało — aniołami na koniach o wiele sprawniej niż współczesna swoją skomplikowaną aparaturą i żmudnymi matematycznymi wyliczeniami...

WŁADYSŁAW

WIERSZE

Trumna jesionowa

Jak tu, tak samo na Powązkach
styczniowy krąży śnieg puszysty...
Tam jesionowa trumna wąska,
a w niej twój głuchy sen, wieczysty.

Nie jesteś duchem, tyś wspomnienie,
które za włosy w przeszłość wlecze.
Nie wierzę w elizejskie cienie,
lecz w ciężkie, gorzkie łzy człowiecze.

A mam ich tyle w noc bezsenną,
że chyba nimi świat obdzielę,
i nie ma cię, a jesteś ze mną,
o! zostań choćby chwil niewiele.

Wspomnimy te dziecięce gwiazdy —
mówiłaś: „Słyszę, świat się kręci"... —
i te niedawne wspólne jazdy
po drogach Polski i pamięci,

i jak kwietniowy kwiat nam wiślił
drogę z Krakowa aż do Gdańska.
Wtedyśmy wspólnie snuli myśli,
a teraz moja myśl bezpańska.

Była jesienna Kielecczyzna
i w stu wrześniowych barwach Ojców...
Córeczko miła, cóż ci wyznać? —
że źle, że bardzo źle dziś ojcu.

Ale nie poddam się, nie poddam
i będę kroczył w dal za dalą,
i ciężar pieśni ludziom oddam,
co na budowach światła palą.

Brzoza

Przeciw smutkom cóż pocznę,
o! brzozo!
Usnę, ależ się ocknę,
coś się we mnie rozpęta,
by pamiętać, pamiętać,
o! brzozo!

Córko moja nieżywa,
o! brzozo!
pieśni nić niegodziwa
chce mnie spętać trumiennie
i — zatruta — być we mnie,
o! brzozo!

Jakże rozpacz wyrazić, gdy żyję,
o! brzozo!
kiedy słowa nijakie, niczyje,
a ja powiem rozpaczą
słowom, że nic nie znaczą,
o! brzozo!

Fot. Tadeusz Przypkowski

BRONIEWSKA-KOZICKA

DOKUMENTACJI „WISŁA"

Za Karczówką droga skręca ostrym łukiem w lewo i dalej biegnie wzdłuż Bobrzy aż do Białogonu.

*

Białogon. Tu w czasach Królestwa Polskiego bito monety z napisem: „Z polskiego srebra", oraz: „Z polskiej miedzi". Na medalionie wybitym na cześć Aleksandra I czytamy: „I kruszcom polskim zajaśniało słońce..." Owo słońce zostało wyobrażone na tymże medalionie na klasycystycznym budyneczku zarządu huty „Aleksandra" w Białogonie. Budynek ten tak samo wygląda dziś. Świetnie zachowała się stara odlewnia: archaiczne pieceżeliwniaki i drewniany dźwig sprzed 140 lat, poruszany ręczną korbą za pośrednictwem kół i przekładni. Podobnie — kuźnia, zapadła w ziemię. To już obiekty zamarłe. Ale Białogon żyje i rozwija się. Dyrektorem jest od paru miesięcy Feliks Dębek, technik ze Starachowic. Nie był tą nominacją zachwycony. Zadanie niełatwe: przekształcić to swoiste muzeum przemysłu polskiego w normalnie funkcjonujący zakład produkcyjny. Ale jednocześnie — zaszczyt: „powiedzieli, że trzeba uczcić to co zrobił Staszic, no ale połączyć piękne z pożytecznym". A pożytku było dotychczas niewiele. Metody produkcji nie tylko przestarzałe — archaiczne i anachroniczne zarazem. „Gdyby tak zostało — trzeba by się gnieść". Tzw. czynniki nadrzędne (w Poznaniu) nie chciały się zgodzić na rozbudowę zakładów — wygodniej zostawić tak jak jest. Trzeba było długich pertraktacji i interwencji „aż" w PKPG. W Warszawie zapadła decyzja rozbudowy i mechanizacji, zatwierdzono plan przewidujący wyposażenie Białogonu w kompresory, suwnice itp. A tymczasem uparty technik ze Starachowic zaczął od drobnych na pozór posunięć: zorganizował narzędziownię, warsztat naprawczy, prysznice. I — mimo iż suwnicy w hali lejniczej jeszcze nie ma, a napęd daje nadal siłownia wodna (założona w r. 1830, unowocześniona... w r. 1908) pośrednio, przez cały system pasów transmisyjnych, historia Białogonu ruszyła z martwego punktu, na którym się zatrzymała po upadku Powstania Listopadowego.

Oryginał kroniki zakładu z lat 1815—1831 zaginął w czasie okupacji. Została żywa kronika. Taki np. majster Obel — to już przedstawiciel czwartego pokolenia robotników białogońskich. Jego pradziad przywędrował tu z Czech w roku 1826. Pracował przy instalacji sprowadzonych z Anglii pierwszych maszyn łańcuchowych, funkcjonujących jeszcze dziś: strugarki płaskiej, tokarki czołowej (tarczowej), poruszanej ogromnym napędowym kołem. Dziad kuł kosy powstańcze w roku 1863 i własnoręcznie topił je w stawie przed przybyciem kozackiego patrolu.

Obaj, dziad i pradziad, byli w sytuacji uprzywilejowanej — jako cudzoziemcy (większość robotników ówczesnej huty „Aleksandra" stanowili bowiem chłopi pańszczyźniani, odrabiający tu szychty po 12 godzin dziennie). Ich syn i wnuk — ojciec majstra Obla — przestał już być cudzoziemcem i nie stanowił, po zniesieniu pańszczyzny w roku 1864, wyjątku. Podlegał przez wiele lat tym samym co reszta załogi prawom kapitalistycznego wyzysku, tak samo groziło mu bezrobocie i głód. W roku 1905 był członkiem Komitetu Strajkowego. Jego syn, przedstawiciel czwartego pokolenia robotniczej rodziny Oblów w Białogonie, jest dziś nie tylko „żywą kroniką" zakładu, ale przede wszystkim aktywistą partyjnym, walczącym o jak najszybsze unowocześnienie „tego co zrobił Staszic".

Obok starej odlewni, tej z drewnianym dźwigiem, stoi dziwny, przekrzywiony „i w siebie nachylon" budynek. Mówiąc prościej — szopa. Rośnie przed nią jedno jedyne drzewo. Ale o nim później. Wewnątrz tej szopy przechowuje się formy, drewniane i metalowe, wszystkich odlewów żelaznych produkowanych w Białogonie od początku istnienia zakładów. Trudno dziś dociec, czemu te dziwaczne kształty służyły. Przeważają części maszyn, w które za czasów Staszica Białogon zaopatrywał zakłady przemysłowe Zagłębia Staropolskiego. Bardziej już czytelne są części maszyn rolniczych — bron, pługów. I wreszcie — dobrzy nasi znajomi: podstawy warszawskich latarń z syreną na owalnej tarczy, płyty zamykające włazy do warszawskich kanałów. W kącie, za usypiskiem rur, oparta o ścianę metalowa forma. Szczególna forma — popiersie Stanisława Staszica...

Zabierano stąd formy do odlewni — powracały, kiedy nie były potrzebne. Tak właśnie kiedyś przestała być potrzebna żelazna kratownica, a że była duża i ciężka, nie chciało się robotnikom wnosić jej do szopy. Oparli o ścianę i poszli. Był rok 1831. Kratownica stoi po dziś dzień przed szopą. Przerosło przez nią drzewo, oplotło ją konarami tak mocno, że nie można by ruszyć kratownicy, nie ścinając tego drzewa.

*

Piękne białe krużganki klasztoru na Św. Katarzynie, miękko osadzonego w górskim zboczu. Widok stąd na podnóże Łysicy. Szeroka panorama jesiennego krajobrazu. Drzewa przysiadłe na miedzach, ciasno oplatających tę ziemię.

Kapliczka przy źródle. Na ścianie pod szkłem podpis na metrze kwadratowym tynku, ogromnymi kulfonami: Stefan Żeromski, i data — 1882. Bardzo prymitywne fałszerstwo, obliczone nie wiadomo na co właściwie: na głupotę, snobizm czy też zachęcenie ludzi do podpisywania się na ścianach. Tylko babuleńka w chałupie po przeciwnej stronie drogi wydaje się zadowolona z tego pseudo-konserwatorskiego barbaryzmu: „chodzą tu różni **toto** oglądać, mleka czasem kupią...."

Rowem obok drogi pędzi stado gęsi dziewczynka najwyżej 8-letnia, bosa, w kusej perkalowej sukienczynie (październik!). Towarzyszy jej czworo młodszych dzieci, tak samo jak ona bosych. Najmłodsze stawia chwiejne kroki na beczkowatych, krzywicznych nóżkach. Brudny barchanowy kaftanik ma usmarkany do pasa.

— Cóżeś ty, dziewucho, taka stara a dzieciakowi nosa nie umisz obetrzeć! — atakuje ją babka.

Uciera więc własnym podołkiem i wędruje dalej, dźwigając na ośmioletnich barkach odpowiedzialność za stado gęsi i czwórkę „drobiazgu".

— A gęsi wasze? — Ni.

*

Wiele jest na tej ziemi renesansowych budowli z piaskowca, ciosowych romańskich kościołków, pałaców magnackich i szlacheckich dworów, zabytków architektury i sztuki...

Do jakiego katalogu inwentaryzacji zabytków można by wciągnąć to czego tu najwięcej — chłopską nędzę, odwieczną chłopską krzywdę?

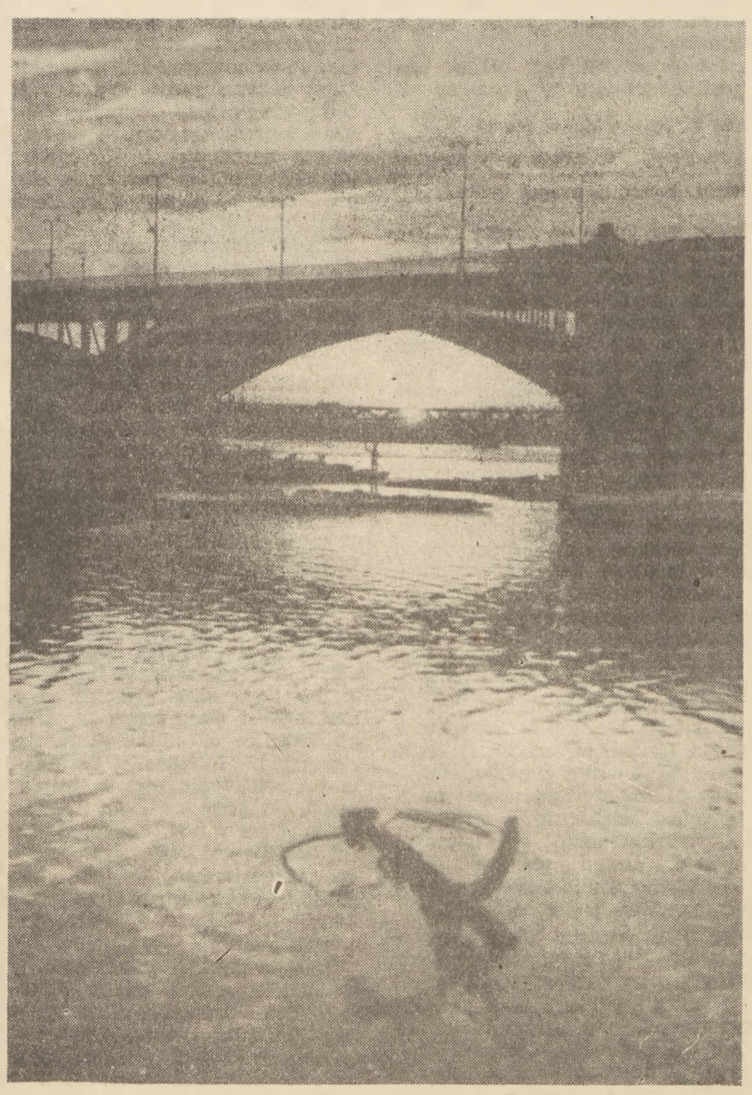

Fot. Tadeusz Przypkowski

Wsie nazywają się: Rudy, Huciska, Kuźnice, jest nawet — pod samą Łysą Górą — wieś Stara Huta. Chałupy bielone, kryte słomą. Ciasno skupiona świętokrzyska nędza. Ziemia piaszczysta, kamienista, wydarta lasom, nieurodzajna. Z czego na niej wyżyć, jak dalej dzielić te skrawki ziemi? „Gdy się poczyna okrutny, nikomu i niczemu nie przepuszczający przednówek, wychodzi bandos w dal za Pilicę-rzekę, w pszenne kraje. W pustych wioskach kieleckich zostaje jeno dziad strupieszały, oślepła kudłata babka, koślawiec, niemowa lub obłąkana latawica. Bywa wtedy, że opuszczony stary człowiek prosi się z głodu o śmierć, jak o łaskę. W inną okolicę wynosi się opuszczony pies". — pisał Żeromski w „Słowie o bandosie".

Ile wieków chłopskiej krzywdy... O trzysta lat wcześniej niż Żeromski tak pisał Sebastian Fabian Klonowicz w poemacie „Flis":

„...Każdy rok szlachcic, acz nowiny porze,
I nagnoiwszy stare pola orze,
Jak osieł, chłopek nigdy bez kłopotu
Nie oschnie z potu.

Robi dzień i noc, i konny i pieszy,
Przecie się z tego chciwy pan nie cieszy..."

„...Wsi nie nasycą pana choć jednego,
Tak wszystko ginie co użną poddani,
Jakby w otchłani..."

Skąpe w środkach wyrazowych, prymitywne — a ileż ekspresji zawierające — stare drzeworyty z XV i XVI wieku pokazujące pracę chłopów pańszczyźnianych. Mamy tu rodzinę chłopską pracującą w nocy na swoim polu, bo w dzień odrabiają pańszczyznę, żeńców, orkę — i wszędzie figuruje nieodstępny „ekonom" z kijem. Na drzeworytach wygląda to jednak jakoś zabytkowo, „historiosztucznie"...

Więcej mówią żywe relikty pańszczyzny: kurne chaty, jedna wspólna dla całej rodziny izba, dokąd przygarnia się w zimę „gadzinę", żeby nie pomarzła, potworny, anachroniczny prymityw uprawy roli, żywe dziś jeszcze zabobony i gusła.

Coraz więcej wędrownych ambulansów dociera na bezdroża wsi świętokrzyskich, coraz częściej przybywają z miasta ekipy lekarskie wyposażone w najnowocześniejsze zdobycze medycyny, mogące uratować człowieka od śmiertelnej choroby.

Ale w ilu jeszcze tutejszych wsiach największe zaufanie mają ludzie od znachorki — okadzającej, odczyniającej uroki, a nawet wsadzającej chore dziecko do ciepłego pieca na chleb, żeby z niego „wilgoć wyprażyło". Pisał o tym jeszcze Prus dobrych kilkadziesiąt lat temu. Opowiadanie zaczynało się od słów: „Antek urodził się we wsi nad Wisłą..." Ludzie „tutejsi" opowiadali mi o paru wstrząsających wypadkach śmierci dzieci (w roku 1953!) wskutek znachorskich praktyk (w okolicach wsi Ocisęki).

W iluż jeszcze wsiach świętokrzyskich jedzie się z dzieckiem do lekarza dopiero wówczas, kiedy znachorskie praktyki nie pomogły i kiedy na pewno jest już za późno. A jedzie się pożyczonym „za odrobek" — i to ciężki odrobek — kułackim koniem.

*

Przy królewskim trakcie, ponoć jeszcze przez Jagiełłę budowanym, wiodącym na Święty Krzyż, stoi kamienny, rozmyty przez deszcze i czas, posąg pielgrzyma.

Według legendy posuwa się on co rok o ziarnko piasku — a kiedy dotrze do szczytu Łysej Góry — nastąpi koniec świata.

Nadejście nowego, zmiana w życiu wydają się wielu starym chłopom i chłopkom tutejszym równie odległe jak ów koniec świata wyznaczany co rok ziarnkiem piasku.

A jednak między szczytem Łysej Góry a wsią Słupia Nowa, leżącą u jej podnóża, przebiega już linia wysokiego napięcia...

Czasy pańszczyzny są tu wciąż jeszcze dniem wczorajszym, równie bliskim jak poniedziałek wtorkowi, wtorek środzie.

Powstają w Kielecczyźnie nowe ośrodki przemysłowe, zaczyna się na wielką skalę eksploatacja bogactw naturalnych — prawdziwych bogactw tych ziem zapomnianych i zaniedbanych przez pańską, przez kapitalistyczną Polskę. Coraz więcej budujemy tu dróg, coraz mniej pozostaje białych plam na mapie ziemi kieleckiej. Coraz więcej ludzi stąd — „wsiowych ludzi" — pracuje w Starachowicach, w Ostrowcu, ba, nawet ci ze wsi Stara Huta siedzą stale w Nowej Hucie, a do domu przyjeżdżają tylko w dni świąteczne. Lecz na samej wsi zmienia się niewiele. Trzeba jeszcze wiele trudu i czasu, aby odwrócić na nice feudalny porządek rzeczy.

Powtarzamy często słowa o „odrabianiu wielowiekowego zacofania". Ale sens tych słów jest dla nas na ogół dość abstrakcyjny. Trzeba tu przyjechać, na „najstarsze polskie ziemie" — trzeba uważnie przyjrzeć się tutejszym ludziom i sprawom, aby zrozumieć ile wieków ucisku, krzywdy, ciemnoty pozostawiło swe piętno na tej ziemi, i ile gorzkiej prawdy zawierają mądre słowa „odrabiamy wielowiekowe zacofanie".

Joanna Broniewska-Kozicka

1954

BRONIEWSKI

DO ANKI

Firanka

Otworzyłem okno, a firanka
pofrunęła ku mnie,
jak Anka
w trumnie.

Biała firanka, błękitne zasłony,
zaszeleściło...
O! pokaż mi się od tamtej strony!
Jesteś? Jak miło!...

Jak miło... jak miło... jak strasznie,
moja miła...
Ja już chyba nie zasnę...
Firanka?... Czy tyś tu była?

W zachwycie i grozie

Moja córka, moja córka umarła!...
Jak sercu powiedzieć: nie płacz,
kiedy rozpacz serce przeżarła,
a to serce wyrwać i zdeptać.

Moja córka... Ach! żadnej kochance
nie mówiłem tak siebie do dna,
jak Ance...
A była mi ona podobna

do świata, który się stawał
w zachwycie i grozie,
a jam gorąco serce podawał
na mrozie.

Film o Wiśle

Od źródeł Wisły aż po ujście,
od źródeł życia aż do śmierci,
aż do utraty tchu jam niósł cię
na czułych skrzydłach moich wierszy.

Tak rzekę braliśmy na własność,
i piękne były nasze dobra,
jak światło, które ma nie zgasnąć,
jak żywy i wieczysty obraz.

Od wież wawelskich aż po gdańskie,
od Nowej Huty aż po Stocznię
i w przeszłość — aż po gród pogański
umiłowaniem — po widoczne

sięgaliśmy, by słowem - okiem
odtwarzać, tworzyć wielkie dzieje
i w krajobrazie tkwiąc szerokim,
uparcie głosić: — Dnieje! dnieje!

...Pamięci moja smutna, nie kłam,
oto już obraz się pogmatwał,
wiślaną mgłą zasnuty ekran,
czerwone słońce, trumna, tratwa

i kry burzące most, i wieże
zamkowe, i fabryczny komin,
ostatni wieczór w Kazimierzu,
i w oczach mgła, i gorycz wspomnień...

Ach! Cóż ja robię? Chwytam cienie
i cień twój drogi na ekranie,
a rozum radzi: zapomnienie,
a serce wierzy: miłowanie.

Lament

„Ankę to ja bym do Wisły!..."
„Co robisz, tato?!"
„Bez litości i bez namysłu
za to,

że ty mi każesz
kochać więcej niż w sercu miejsca,
że mi (już dzisiaj) pokażesz
bukiecik fiołków w Bejscach,

a tam kasztany, kasztany
— pstryk! Tadziu —
że tata zakochany,
a łeb w nieładzie,

że myśli takie wielkie,
a środki...
że do Wiślickiej bazyliki
szliśmy po schodkach,

tam dwunawowy tum
Kazimierza,
że historii szum
trwożnie serce odmierza,

żeś ty już w dzieje wpleciona,
jak ornament,
że w ustach kona
lament,

że tak mi ciężko, ach! ciężko
myśleć i wymyślić
poemat, czyli: zwycięstwo!
o Wiśle".

„Utop mnie, tato, ja i tak nie żyję..."
„A łzy?"
„Niech będą niczyje,
niech kwitną bzy..."

Obietnica

Córeczko moja daleka,
pusto, pusto koło mnie,
serce krwawi i czeka,
ono nie umie zapomnieć.

Umarłaś, lecz nie zupełnie:
nadal razem się trudzim.
Com ci obiecał — spełnię:
wiersz mój odniosę ludziom,

by dawał pokój i światło,
miłość, nadzieję, radość,
choć nie łatwo, córeczko, nie łatwo
nieść wiersz i pod nim upadać...

Ta noc straszliwym ptaszydłem
siadła na mnie i kracze.
Oberwę, oberwę jej skrzydła,
wyrwę się, wyrwę rozpaczy.

JULIUSZ KLEINER

WYDANIE NARODOWE DZIEŁ MICKIEWICZA

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

Tom IV zawiera **Pana Tadeusza.** Tekst i uwagi o nim opracował Leon Płoszewski, objaśnienia (z oszczędnością nie małą i z wielkim znawstwem kultury polskiej) Julian Krzyżanowski. Świadczy to o nadzwyczajnej skrupulatności filologicznej Płoszewskiego, że w kilku drobiazgach udoskonalił jego tekst, ustalony w ścisłych edycjach Pigonia (w Bibliotece Narodowej i w wydaniu sejmowym).

W jednym wszakże przypadku restytucji wymaga tekst pierwodruku rozszerzony niepotrzebnie o wiersz autografu. Oto w Ks. II pierwodruk i tom I edycji paryskiej z roku 1844 tak przedstawia wystąpienie Wojskiego:

Pan Wojski jakby przebudzony
Z głębokiego dumania **na środek wystąpił,**
Obiegał zgromadzenie ognistą źrenicą
I gdzie szmer jeszcze słyszał jak ksiądz kropielnicą
Tak uciszając machał swą placką ze skóry;
Wreszcie podniósłszy trzonem z powagą do góry,
Jak laską marszałkowską nakazał milczenie.
(w. 771—777)

Ponieważ wierszowi „w środku się postawił" brak rymu, poprawiono tu Mickiewicza i z autografu dodano wiersz rymujący:

W środku się postawił,
Swe wąsy podkręcił kapotę
poprawił.

(Po tych wierszach w rękopisach następuje jeszcze wskazanie błysku iskrzących się oczu — co w druku poeta usunął).

Skutkiem takiej poprawki wprowadzono obraz, zarzucony przez samego twórcę, który skupiając uwagę na komicznym posługiwaniu się placką skórzaną, wyeliminował inne gesty. Stosując się do woli autora — trzeba przyjąć brzmienie pierwodruku. *)

Problemem edytorskim w zakresie zawartości tomu IV jest tylko układ **Epilogu**, zachowanego w brulionie i nieuporządkowanego przez poetę.

Układ **Epilogu** ustalony przez Kłaczkę przetrwał przez długie dziesięciolecia. W roku 1946 ogłosiłem **w Nauce i Sztuce** rozprawę filologiczną uzasadniającą układ odmienny. Wydanie Narodowe uwzględniło obie koncepcje, ale jako tekst główny pomieściło utwór w postaci tradycyjnej; nowy układ wydrukowano w **Dodatku Krytycznym.**

Tymczasem dawna postać nie da się utrzymać. Dla uzasadnienia tej tezy wystarczy wskazać, że w układzie Kłaczki po słowach o mieszkańcach „Krajów dzieciństwa", którzy „Jedni zostali wierni przyjaciele" i po scharakteryzowaniu trwałości uczuć w tych krajach — jawi się ustęp, może przyciągnięty wyrazem „przyjaciele" ale naprawdę niczym nie związany ze streszczonymi wierszami, zupełnie niespodziany, stanowiący wtręt dziwny:

I przyjaciele wtenczas pomogli rozmowie,
I do piosnki rzucali mnie słowo za słowem itd.

Siedmiowierszowy ten ustęp jest niewątpliwie ciągiem dalszym, wymaga poprzedniego wskazania momentu w czasie, skoro zawiera odnośnik „wtenczas", i poprzedniej wzmianki o tych przyjaciołach, co w rozmowie uczestniczyli — nie o tych krewnych czy sąsiadach, co pochwaleni są jako „jedni wierni przyjaciele".

Ustęp odpowiadający takim wymaganiom istnieje w **Epilogu:**

Jedyne szczęście, kto w szarej godzinie
Z kilku przyjaciół usiadł przy kominie
— — — — — — — — — — — —
I dumał, myślił o swojej krainie.

Teraz jest jasne, co znaczy „wtenczas", teraz wiadomo, że idzie „o kilku przyjaciół", z którymi poeta wspólnie „myślił o swojej krainie" i którzy „pomogli" jego pamięci.

To chyba nie hipoteza — to rzecz pewna, że owe dwa ustępy należą do siebie, że po wierszu „I dumał, myślił o swojej krainie" — winno nastąpić zdanie „I przyjaciele wtenczas pomogli rozmowie".

Wobec tego układ Klaczki musi doznać zmiany — a skoro ta jedna przynajmniej zmiana jest konieczna, pryska wiążąca siła tradycyjności i całość poddana być może rewizji, by analiza rękopisu i treści doprowadziła do rekonstrukcji naukowo uzasadnionej.

Jako tekst główny więc należało wydrukować nową rekonstrukcję, a tylko ze względu na wieloletnie zżycie się kulturalnych Polaków z dawnym **Epilogiem,** trzeba go było utrwalić w **Dodatku Krytycznym.**

Tomy dalsze od V począwszy obejmują prozę Mickiewicza, teraz dopiero udostępnioną w istotnym komplecie. Układ tekstów łączy zasady ugrupowania rzeczowego z uszeregowaniem chronologicznym.

Tom V, w którym teksty opracował Leon Płoszewski, objaśnienia ważkie Zofia Ciechanowska, przekładu zaś pism francuskich dokonał Artur Górski, to w połowie swej zawartości tom filomacki. Pisma Mickiewicza - filomaty łączące się ze związkiem wileńskim z ukrycia wyszły dopiero w wieku XX dzięki Józefowi Kallenbachowi, a dokładnie opracowane zostały przez Aleksandra Łuckiego w tomie V wydania sejmowego; w wydaniu narodowym wzbogaciły się jeszcze o kilka pozycji, odnalezionych przez Tadeusza Łopalewskiego w wileńskim archiwum miejskim (ogłoszonych przez niego w roku 1945 w **„Twórczości"**). Dział pism estetyczno-krytycznych i opowiadań rozpiętością chronologiczną ogarnia i produkcję młodzieńczą i okresy późniejsze; po raz pierwszy uprzytomnia współpracownictwo Mickiewicza w **Moskiewskim Telegrafie.**

Opracowany przez Leona Płoszewskiego tom VI zaczynają **Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego,** stojące na pograniczu publicystyki i twórczości poetyckiej; reszta tomu zawiera pisma polityczne z lat 1832—1835, korzystając z ustalania tekstów przez Stanisława Pigonia w tomie VI wydania sejmowego. W jednej z enuncjacji — o projekcie dziennika francuskiego — poprawiony został na podstawie autografu układ zdań. Zwięzły komentarz wprowadza trafnie w atmosferę polityczną z której wyrosła publicystyka Mickiewicza.

Tom VII mieści w sobie jedno z wielkich osiągnięć filologii polskiej: dokonaną przez Jerzego Kowalskiego rekonstrukcję wykładów lozańskich. Zachowały się tylko niektóre bruliony prelekcyj i notatki oraz wypisy, które stanowiły materiał przygotowawczy; odnaleziony został nadto przez Władysława Mickiewicza zeszyt któregoś słuchacza co notował sobie treść lekcyj. Jerzy Kowalski z nadzwyczajną bystrością i skrupulatnością i wiedzą filologiczną zrekonstruował brzmienie wykładów i skomentował ich treść; odtworzony tekst i skrót wyników pracy badawczej ogłosił w tomie VII wydania sejmowego; oparła się na tym edycja narodowa. J. Kowalski jest również autorem przekładu świeżo przejrzanego przez Annę Jerzową Kowalską.

Część znaczną tomu wypełniają **Pierwsze wieki historii polskiej** i **pomniejsze pisma historyczne;** francuskie pisma, podobnie jak w tomach poprzednich, przetłumaczył Artur Górski. Pieczę miał nad całością i Dodatkiem Krytycznym ją opatrzył Leon Płoszewski.

Jego to wielkim dziełem filologicznym i edytorskim są całe cztery tomy od VIII—XI zawierające przekład wykładów o literaturze słowiańskiej, przekład tekstu francuskiego doprowadzonego trudem krytycznym wydawcy do postaci, którą uznać należy za autentyczną.

Ktoś gotów by się dziwić, że trzeba było wykonać tak wielką pracę krytyczną dla wydania prelekcji Mickiewicza. Przecież on sam wydał je po francusku, przecież w roku 1845 ogłosił Kurs trzeci pt. **L'Eglise officielle et le Messianisme,** Kurs czwarty pt. **L'Eglise et le Messie** a w roku 1849 dołączył w trzech tomach wykłady dwu lat wcześniejszych, kurs I i II, całości dając tytuł **Les Slaves.** Więc wystarczy chyba przedrukować dzieło uznane przez twórcę za utrwalenie jego prelekcji — i poprawić tylko należy omyłki jakieś.

Tak by istotnie przedstawiało się zadanie wydawcy, gdyby tekst tomów **Les Slaves** naprawdę był ustalony przez Mickiewicza. Tymczasem tylko nad wydaniem kursu III i IV on sam czuwał w znacznej mierze; opiekę nad kursem I i II powierzył znajomym Polakom i Francuzom, ci zaś często kierowali się własnym przekonaniem i wprowadzali zmiany i przeróbki a pewne ustępy opuszczali.

Toteż edycja Płoszewskiego w zakresie kursu I (w wyd. narodowym tom VIII i IX) i kursu II (tom X) jest restytucją i rekonstrukcją tekstu, opartą na skrupulatnym drobiazgowym zbadaniu wszystkich przekazów. Są nimi przede wszystkim różne kopie stenogramów i noty słuchaczy (mianowicie noty Władysława Platera), obok tego „wyciągi", które w toku prelekcji ogłaszał w **Dzienniku Narodowym** i w dodatku osobnym do **„Dziennika"** tłumacz **Literatury Słowiańskiej** Feliks Wrotnowski — ten, którego przekład całości kilkakrotnie wydawany przez szereg dziesięcioleci czytelnikom polskim umożliwił poznanie wykładów wygłoszonych w Collège de France — wreszcie najważniejsze źródło, niestety szczupłe: autografy poety.

Zrekonstruowane zostały wykłady początkowe, od pierwszego do piętnastego, które w **Les Slaves** były przeważnie... przetłumaczone na język francuski z polskiego przekładu: tylko wykład I i część drugiego mogły mieć podstawę zasadniczą w autografie. Praca rekonstrukcyjna trwała i w dalszej części kursu I oraz w obrębie kursu II, chociaż tutaj wobec panującej na ogół zgodności not stenograficznych i wydania francuskiego modyfikująca interwencja krytycznego wydawcy stała się mniej częsta. Nie wymagał rekonstrukcji kurs III i IV, ale i one zawdzięczają sporo krytyce tekstu, przy czym usługi ważne oddało wydanie litografowane trzeciego roku, ogłoszone staraniem Leonarda Niedźwieckiego i wspierane niekiedy wskazówkami samego Mickiewicza.

Prelekcje ukazują się w wydaniu narodowym po polsku. Przekładu dokonał Leon Płoszewski — i dał przekład doskonały, wyrazisty, tętniący często istotnie rytmem mickiewiczowskim, korzystający ze stylu polskiej prozy poety. W cennych dla czytelnika objaśnieniach walor ich naukowy złączył z ekonomią odpowiadającą intencjom edycji narodowej.

Tomy **Literatury słowiańskiej** są opracowaniem nowym; Leon Płoszewski bowiem z cechującą go dokładnością poddał rewizji plon swej wieloletniej pracy przedwojennej. Rekonstrukcję przygotował on dla wydania sejmowego; w r. 1935 wyszedł tom IX mieszczący prelekcję kursu II; w chwili wybuchu wojny kończył się druk tomu VIII, zawierającego kurs I; jeden tylko egzemplarz pełny ocalał i kilkanaście niepełnych; wszystkie inne egzemplarze spłonęły w roku 1944.

Ze znaczeniem tomów VIII — XI rywalizuje walor tomu XIV, XV i (mającego wyjść niebawem) XVI; obejmują one listy Mickiewicza w opracowaniu Stanisława Pigonia, który jako badacz i wydawca Mickiewicza wielkość zasług swych naukowych uwieńczył tym naukowym wydaniem korespondencji. O doniosłości i nowości tomów wspomnianych mówią same cyfry: gdy w roku 1911 Marian Reiter wydał w trzech tomach listy i przemówienia Mickiewicza (jako tomy X—XII **Dzieł Wszystkich** wydanych przez T. Piniego i M. Reitera), liczba listów wynosiła 882. Teraz jest ich ponad 1 150 — wśród nich niektóre odkrycia ostatnich lat kilkunastu, jak niezwykle ciekawa korespondencja poety z amerykańską pionierką emancypacji kobiet i entuzjastką włoskiego **risorgimento** Małgorzatą Fuller wydobyta z ukrycia przez monografistkę tej autorki Emmę Detti i osobno wydana przez Leopolda Welkisza, jak opublikowane wraz z fotokopiami przez Samuela Eiszmana listy odnalezione w zbiorach radzieckich. Kilkadziesiąt pozycyj pojawiło się w edycji omawianej po raz pierwszy.

W zakresie korespondencji wydanie narodowe jest spadkobiercą sejmowego, a edytorski i komentatorski trud Stanisława Pigonia nawiązał do przygotowywania zbioru listów przez Jana Czubka, któremu pracę tę przerwała śmierć w roku 1932. Toteż w roku 1936 prof. Pigoń był wydawcą tomu I, tomu listów z lat 1817—1831; druk tomu następnego zahamowała wojna, w r. 1944 zaś spłonęły arkusze wydrukowane.

By dać publiczności polskiej **corpus epistularum poetae** na to poza zebraniem materiału z licznych i różnorodnych źródeł rękopiśmiennych i drukowanych potrzebne były trzy rzeczy: ustalenie tekstów, uporządkowanie chronologiczne listów czasem pozbawionych daty a nieraz mających datę mylną, wreszcie skomentowanie tych pism związanych z tokiem życia i dopiero na jego tle zrozumiałych.

Ustalenie tekstów dokonane zostało z wielką pieczołowitością. Jeśli tylko autografy były jeszcze dostępne (bardzo wiele uległo zniszczeniu w czasie wojny), wydawca na nowo przeprowadzał kolacjonowanie. Usunął sporo omyłek, restytuował pominięte w pierwodrukach zdania, nawet ustępy. Przy listach wydawanych wielokrotnie w braku rękopisów oparcie się na pierwodrukach często umożliwiło usunięcie skażenia, którego winę ponosiły przedruki.

Ścisłe oznaczenie dat wymagało specjalnych badań. Jak konieczna była w tym celu znajomość mnóstwa faktów, niech uprzytomni jeden chociażby przykład, jeden z wielu. W r. 1833 poeta napisał list bez daty do Niemcewicza z wiadomościami o pisanym właśnie „Poemacie wiejskim", o innych planach poetyckich i emigracyjnych „ruchach i niezgodach". Co do datowania były różne opinie: w wydaniach dawniejszych podawano rok 1834, M. Reiter jako czas napisania koniec maja lub początek czerwca 1833 roku, dwaj inni badacze listopad tego roku. Różnica kilku miesięcy nie jest tu obojętna, ponieważ list stanowi jeden z dokumentów, na których musi się oprzeć rekonstrukcja dziejów kształtowania **„Pana Tadeusza".** Otóż prof. Pigoń rozstrzygnął sprawę definitywnie: na końcu listu jest wzmianka: „Chodźko teraz gdzieś na prowincji". Leonard Chodźko (bo o nim tu mowa), w styczniu roku 1833 wydalony przez rząd francuski z Paryża, w ciągu następnych miesięcy mieszkał „na prowincji" w Tours i w Montauban, ale w sierpniu opuścić musiał Francję i wyjechał do Anglii; w Londynie był z początkiem października, a wrócił do Francji dopiero w lecie roku 1834. Mickiewicz o wydaleniu Chodźki nie mógł nie wiedzieć, pisał więc przed tym faktem, przed sierpniem; i datą właściwą jest koniec maja 1833 roku.

Komentarz trafnie ulokowany po każdym liście, nie na końcu tomu — jest prawdziwie wyczerpujący; wprowadza w cały splot życia osobistego poety i bliskich mu ludzi i w ogóle życia emigracyjnego.

Tom XII obejmujący pisma pomniejsze z lat ostatnich Mickiewicza, tom XIII z enuncjacjami dotyczącymi Legionu polskiego i z **Trybuną Ludów** i tom XVI, który przyniesie resztę listów i nadto inskrypcje nagrobkowe, dedykacje i zapisy sztambuchowe, ukażą się w ciągu najbliższych miesięcy.

Tak ukończone zostanie wydawnictwo, będące w życiu kulturalnym Polski jedną z pozycji naczelnych.

Juliusz Kleiner

*) Co do sprawy przywrócenia niektórych form wyrazowych autografu, zmienionych przez pierwodruk, por. rozprawę Konrada Górskiego **Zagadnienie emendacji tekstów Mickiewicza** (Pamiętnik Literacki 1954, zesz. 3).

Pamiętaj o wypełnieniu karty plebiscytowej i przesłaniu jej do redakcji.

10 NAJLEPSZYCH KSIĄŻEK DZIESIĘCIOLECIA

KARTA PLEBISCYTOWA

Imię i nazwisko autora	Tytuł książki
1	.....
2	.....
3	.....
4	.....
5	.....
6	.....
7	.....
8	.....
9	.....
10	.....

Imię i nazwisko czytelnika .....

Zawód .....

Adres .....

KOMENTARZE

W sprawie polemiki o „Profile moich przyjaciół"

Są książki — papierki lakmusowe: kiedy zanurzyć je w roztworze opinii krytycznej, wydobywają na jaw z nieomylnością chemicznego doświadczenia najbardziej utajone właściwości tegoż roztworu. Taką książką okazały się „Profile moich przyjaciół" K. Filipowicza. W reakcji na nią krytyka schematyczna objawiła swoją kwaskowatość, a krytyka snobistyczna swój mdły smak. Tak w pierwszym jak i w drugim przypadku rezultaty tego doświadczenia można było oczywiście z góry przewidzieć. Równie prawidłowe jest to, że w recenzji schematycznej, zamieszczonej w „Nowej Kulturze", działała maszynka krytyczna, jak i to, że w odpowiedziach jej polemistów „Profile moich przyjaciół" uznane zostały za objawienie „nowego etapu w życiu naszej literatury" (W. Maciąg — „Życie Literackie"), prozy nowatorskiej „na naszym terenie" (A. Sandauer — list do redakcji „Nowej Kultury") i podparte zostały autorytetami Szekspira, Lwa Tołstoja i Tomasza Manna.

Utwory zawarte w „Profilach moich przyjaciół" powstały w większości badajże w pierwszych latach powojennych. Są to cieniutkie i bardzo subtelne tkaninki wnętrz ludzkich, zrobione na wzór kameralnej psychologii ze szkoły dwudziestolecia. Recenzentka „Nowej Kultury" nie dostrzegła artystycznej subtelności tych tkanin (za co słusznie dostała w skórę), a jej polemiści niepotrzebnie robią z tych — ładnych zresztą — muślinów sztandar nowej sztuki.

AW

MARCELI RANICKI

Na marginesie „Egzaminu" Bredla

„Egzamin" Bredla jest dokumentem historycznym i to nie tylko w tej mierze, w jakiej każda dobra powieść jest dokumentem epoki. Rzeczywiste postacie i wydarzenia ukazane są w tej książce tak wiernie, że może ona służyć jako materiał dowodowy. Przewidywał to dwadzieścia lat temu jeden z jej pierwszych recenzentów. Nie omylił się — „Egzamin" znalazł się na stołach hamburskiego trybunału, który w roku 1950 sądził byłego komendanta obozu koncentracyjnego w Fuhlsbüttel i jego współpracowników. W ten sposób sąd zachodnioniemiecki, daleki od sympatii dla rewolucyjnego pisarza, a raczej wyrozumiały — jak świadczyły o tym stosunkowo łagodne wyroki — dla oskarżonych zbrodniarzy hitlerowskich, potwierdził „urzędowo" autentyzm pierwszej emigracyjnej powieści Bredla.

Ściśle rzecz biorąc „Egzamin" jest utworem na wpół emigracyjnym. Pierwsze książki Bredla powstały w latach 1930—1931 w celi więziennej, do której hamburskiego rewolucjonistę wtrącono za odważne artykuły demaskujące weimarską reakcję. Gdy hitlerowcy objęli władzę, przenieśli pisarza, znajdującego się ponownie w więzieniu, do obozu koncentracyjnego w Fuhlsbüttel. W separatce, w której przebywał przez długie miesiące, układał w myślach powieść obrazującą swoje przeżycia. Gdy w roku 1934 udało mu się zbiec do Pragi, „przeniesienie jej na papier" — jak pisze we wstępie do „Egzaminu" — „było tylko sprawą techniczną". Jeszcze w tymże roku książka została wydana i — wkrótce przełożona na siedemnaście języków — zyskała autorowi rozgłos międzynarodowy. U nas pierwsze tłumaczenie ukazało się dopiero teraz, po wydaniu w języku polskim całej nieomal twórczości Bredla.

Główne zadanie, jakie postawił sobie autor, sprowadza się do ukazania prawdy o hitlerowskich obozach koncentracyjnych i odzwierciedlenia walki niemieckich antyfaszystów w pierwszym roku istnienia Trzeciej Rzeszy. Oczywiście, „Egzamin" spełnia teraz zupełnie inne zadanie niż dwadzieścia lat temu. Fakty, których ujawnienie było w roku 1934 rewelacją, są u nas dzisiaj znane każdemu czytelnikowi. Bezpośrednia demaskatorska wymowa książki już zbladła. Późniejszym utworom zawdzięczamy bardziej wnikliwą, pełniejszą analizę i hitleryzmu, i tragedii bojowników podziemia. A jednak „Egzamin" wzrusza i wstrząsa po dzień dzisiejszy i wywiera większe wrażenie niż niektóre bogatsze i pozornie głębsze powieści o tej samej tematyce. Dlaczego? W odpowiedzi na to pytanie kryje się tajemnica poczytności nie tylko „Egzaminu", ale także innych książek tego autora, zwłaszcza powieści „Twój nieznany brat" i „Ojcowie".

Szczegółowe i precyzyjne analizy psychologiczne pojawiają się w epice Bredla tylko w wypadkach wyjątkowych. Postacie, naszkicowane jedynie w ogólnych zarysach, pisarz wprowadza z miejsca w akcję, z reguły dramatyczną, niekiedy — jak np. w „Nieznanym bracie" — sensacyjną. Jest portrecistą, który kilkoma kreskami osiąga nie tylko wyrazistość i trójwymiarowość postaci, ale także — i przede wszystkim — emocjonalny do nich stosunek odbiorcy. Już w pierwszym rozdziale „Egzaminu" Walter Kreibel wzbudza nasze żywe sympatie, już po drugim rozdziale jesteśmy do niego przywiązani. Gdy bohater zawładnął sercem i umysłem czytelnika — pisarz sprawę swoją uważać może za wygraną. Jesteśmy wówczas gotowi wybaczyć mu uchybienia przeciwko prawdopodobieństwu życiowemu, błędy psychologiczne, a nawet logiczne. Nieraz korzysta z tego Bredel.

W „Egzaminie", w „Nieznanym bracie", w „Ojcach" sporo jest różnych usterek, krytyk rozpatrujący te powieści na chłodno wiele może zgłosić pretensji, może zarzucić autorowi naiwności i uproszczenia — cała rzecz w tym, że trudno utwory te analizować na chłodno, gdyż udziela się nam najczystszy żar rewolucyjny. Nasze uczucie dla Waltera Kreibla, Arnolda Clasena czy starego Hardekopfa jest tak silne, że niekiedy stępia ostrze krytycznego spojrzenia, że wierzymy Bredlowi nawet wówczas, gdy trzeźwy rozum każe nam powątpiewać. A to chyba nazwać można zwycięstwem pisarza. W „Egzaminie" zwycięstwo takie Bredel odniósł po raz pierwszy.

*

W roku 1953 Aleksander Jackiewicz ogłosił powieść o walce antyfaszystowskiego podziemia w Berlinie w latach drugiej wojny („Wieża Babel"). Fabuła utworu jest zręcznie skonstruowana, książka trzyma w napięciu. Ale nie wzrusza, nie porywa, gdyż nie możemy się przywiązać do postaci pozytywnych i nie możemy znienawidzieć postaci negatywnych. Ale nie tylko to. Nie wierzymy, że Stahl, główny bohater powieści Jackiewicza, rzeczywiście walczył z hitleryzmem, a tym bardziej, że oparł się barbarzyńskim torturom gestapo. Przeciętny Niemiec był w latach Trzeciej Rzeszy albo zwolennikiem faszyzmu, albo też zajmował wobec brunatnego ustroju postawę bierną. Na walkę zdobyły się w tych arcytrudnych warunkach tylko jednostki wyjątkowe, o szczególnie mocnym charakterze. Pisarz ukazujący Niemca, który w państwie hitlerowskim bohatersko przeciwstawia się straszliwej przemocy, musi utwierdzić w nas przekonanie o niezwykłej sile moralnej tego człowieka. Nie docenił tego autor „Wieży Babel".

Willi Bredel natomiast zdawał sobie z tego sprawę już dwadzieścia lat temu. Wiedział także, że zbrodniarz pozbawiony ludzkich cech jest postacią równie nieciekawą jak pozytywny bohater pozbawiony słabości ludzkich i wahań. Gestapowcy w jego powieściach są takimi, jakimi byli w rzeczywistości — zbrodniarzami; ale nie przestają być ludźmi. Nie umniejsza to oskarżycielskiej wymowy, lecz ją potęguje. Komuniści w jego powieściach zdobywają się na najwyższe bohaterstwo, ale nie stają się bynajmniej nieskazitelnymi ideałami.

Bredel potrafi nas tak dalece przekonać o moralnej i ideowej sile Waltera Kreibla czy Arnolda Clasena, że ich heroiczne czyny nie wzbudzają naszego sceptycyzmu. Gdy Walter Kreibel w ostatnim rozdziale „Egzaminu" wychodzi nareszcie z obozu koncentracyjnego, postanawia wycofać się z walki podziemnej. Autor przekazuje nam myśli swego bohatera, powstrzymuje się jednak od komentarza — i może sobie na to pozwolić, albowiem czytelnik nie ma wątpliwości, że decyzja Kreibla jest wynikiem chwilowego załamania, że wróci on do szeregów walczących.

Pisarza interesuje nie tylko sam czyn bohaterski, ile poprzedzająca go walka wewnętrzna. Najsilniej, najgłębiej walka ta ukazana jest w częstych u Bredla fragmentach obrazujących przeżycia psychiczne komunistów w samotnej celi więziennej. Właśnie w tych niezapomnianych scenach rewolucyjny optymizm autora, zrodzony ze straszliwego cierpienia i niezachwianej wiary, znajduje swój najpiękniejszy wyraz. Zarazem ujawnia się w wewnętrznych monologach uwięzionych komunistów godny podziwu umiar pisarza, jego oszczędność i wstrzemięźliwość w stosowaniu środków ekspresji.

Styl Bredla nie zwraca na siebie uwagi czytelnika, jest jakby pozbawiony oryginalności. Daleko autorowi „Egzaminu" do bogatego, ale częstokroć niełatwego języka Anny Seghers. A jednak styl Bredla jest bardzo charakterystyczny i niesposób wyobrazić sobie jego utworów w innej szacie językowej. Najbardziej uderzającym rysem tej prozy jest chyba prostota. Bezpośrednie i naturalne dialogi przeplatane są swobodną i potoczystą narracją. Ani w dialogach, ani w opisach nie ma gadatliwości i rozlewności, które rażą u innych proletariackich pisarzy niemieckich tego okresu (Hans Marchwitza, Adam Scharrer itd.). Rzadko tylko posługuje się autor metaforami, a gdy się pojawiają w jego tekstach — są zawsze nieskomplikowane, celne i przemawiają do wyobraźni każdego czytelnika.

Bogata jest skala humoru Bredla. Z gryzącą ironią demaskuje pisarz hitlerowców, z dobrodusznym i łagodnym uśmiechem ukazuje przywary i słabostki ludzkie, bezlitośnie obnaża psychikę drobnomieszczaństwa. Humor Bredla postaciom pozytywnym przydaje serdeczności, ciepłego człowieczeństwa, a krytykę postaci negatywnych zaostrza. Akcenty zdrowego, ludowego humoru służą niekiedy załagodzeniu ponurego obrazu życia, niekiedy zaś jeszcze silniejszemu uwypukleniu tragizmu.

Maria Dąbrowska napisała kiedyś: „Trzon swoich realiów pisarz nosi w swym losie". Epika Willi Bredla jest idealnym wręcz przykładem potwierdzającym słuszność tej tezy. Autor „Egzaminu" nie jechał w teren, by poznawać rzeczywistość swego czasu, ale żył pełnią życia, pełnią trudnego życia niemieckiego komunisty. W pasjonującej historii jego losów twórczość literacka była elementem jakby drugoplanowym, jakby tylko towarzyszącym jego głównej działalności. Książki Bredla powstawały podobnie jak wiersze Ericha Weinerta na marginesie walk rewolucyjnych — toteż często są niedopracowane, niekiedy pobieżne (np. „Spotkanie nad Ebro"), ale zawsze urzekają szczerością i bezpośredniością wypowiedzi artystycznej.

Z wyjątkiem Anny Seghers nie było drugiego epika niemieckiego na emigracji, który by potrafił tak ściśle powiązać swoją twórczość z bieżącymi wydarzeniami historyczno - społecznymi jak Bredel. Poprzez literackie odbicie osobistych dziejów pisarza odnajdujemy obraz epoki, ukazujący prawdziwych ludzi, którzy przeżywają prawdziwe konflikty. I dlatego „Egzamin" — mimo że jako powieść demaskatorska o hitlerowskich barbarzyństwach nie wnosi dziś już nic nowego — jest nadal żywym utworem, który ma nam sporo do powiedzenia, któremu zawdzięczamy głębokie wzruszenia.

Marceli Ranicki

Willi Bredel: Egzamin, powieść, przełożyła z niemieckiego Anna Linke, wiersze tłumaczył Artur Marya Świnarski, str. 329. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954 r.

KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA

Corso nowej Warszawy

Szanowny i Drogi Redaktorze!

Urodziłem się daleko poza Warszawą, ale już od 4 blisko lat jestem mieszkańcem Stolicy. I jestem nie przypadkowo. Musiałem wyfrunąć spod opiekuńczych skrzydeł Almae Matris Posnaniensis, która w pierwszych latach niepodległości była mi rzeczywiście i matką, i rodziną, i domem, by na mocy ustawy o planowym zatrudnieniu absolwentów wylądować na warszawskim bruku i... podzielić los warszawskiego gołębia.

Czy nawet gołębia?

Los mój stał się gorszy, o wiele gorszy od losu warszawskich gołębi. Bo gołębie w Warszawie są otoczone opieką, cieszą się ogólną sympatią społeczeństwa i już przed rokiem przydzielono im domki na Starówce, a o bezdomnych absolwentach z nakazami pracy radni m. st. Warszawy nie myślą zgoła wcale. Mam dość powodów, aby tak sądzić.

Tak więc ilekroć szedłem oglądać odbudowaną i odrestaurowaną Starówkę i przechodziłem ulicą Piwną obok okupowanego przez gołębie mieszkania w domu nr 6, mimo woli cisnął mi się na usta werset z biblii świętej: „gołębie mają swoje domki, architekci i ojcowie miasta mają swoje domy, tylko absolwent z nakazem pracy nie ma gdzie głowy złożyć" (pewno pokręciłem, ale biblii dawno nie czytałem a cytuję z pamięci).

Duch ustawy o planowym zatrudnieniu absolwentów przemawiał ze szpalt urzędowego dziennika zdawałoby się tak wyraźnie, tak jasno i rozsądnie — prawdziwy dobry duch naszych wspaniałych czasów. Wymagał od absolwenta przywiązania się do zawodu, do zakładu i miejsca pracy, a w zamian gwarantował mi najelementarniejsze rzeczy — godziwe wynagrodzenie i mieszkanie. I ja się przywiązałem.

Nie jest mi już teraz obojętna Warszawa. Transplantacja mocno zniszczonej przez faszystowską okupację jednej żywej tkanki na drugą udała się jak nigdy — z Warszawą zżyłem się i zrosłem jak z nikim i z niczym dotychczas. Prawie jak gołąb.

I stałoby się bardzo dobrze, gdyby się stało zupełnie zgodnie z duchem ustawy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Bo i do instytucji, w której pracuję, się przyzwyczaiłem — mimo że o to się nie starała. No cóż? Pracodawca i tak zrobił wszystko co mógł.

Bo muszę Pana poinformować — Drogi Redaktorze — że mój pracodawca zajmuje się produkcją środków spożywczych dla zaspokajania potrzeb szerokich rzesz mieszkańców Warszawy i całego kraju, a produkcją domów akurat się nie zajmuje. Wystąpił więc pracodawca do Wydziału Kwaterunkowego Prezydium Rady Narodowej w m. st. Warszawie i powołał się na art. 15 ust. 2 ustawy, który brzmi: „w miastach i osiedlach, w których wprowadzono publiczną gospodarkę lokalami, władze kwaterunkowe przydzielą na wniosek zakładu pracy w pierwszej kolejności odpowiednie mieszkanie absolwentowi skierowanemu do pracy w trybie niniejszej ustawy".

Oto prawdziwy dobry duch naszych socjalistycznych ustaw. Ale ludzie z Wydziału Kwaterunkowego byli niedobrzy. I jak wszyscy niedobrzy ludzie — byli obłudni i wykrętni. Oto jak odpowiedzieli ludzie z Wydziału Kwaterunkowego: „W załatwieniu pisma jak w nagłówku, Wydział Kwaterunkowy uprzejmie zawiadamia, że w tej chwili nie może przyjść z pomocą z uwagi na brak wolnych lokali w związku z trwającą akcją przekwaterowywań rodzin z domów zagrożonych. Akcja wspomniana jest nagląca i wymaga całkowitego zlikwidowania, gdyż mieszkańcy w/w domów w niebezpieczeństwie oczekują na zmianę warunków mieszkaniowych". — Załatwili. I załatwili nawet uprzejmie i trudno im było odmówić słuszności. — Nic wtedy nie wiedziałem o obłudzie panów z Wydziału Kwaterunkowego, a do ludzi miałem jeszcze zaufanie. Uwierzyłem więc, że są sprawy ważniejsze od mojej, że inni też czekają i czekają w niebezpieczeństwie.

Uwierzyłem tym łatwiej, że w tym czasie miałem noclegowisko przy ul. Fabrycznej i widziałem tam codziennie taki zagrożony dom — dom nr 3. Postanowiłem więc czekać cierpliwie i nawet znosić mieszkaniową poniewierkę. To przynajmniej (tak mi się wtedy wydawało) nie zagrażało życiu.

Tamto wszystko działo się w lutym 1952 roku.

Niedawno poszedłem znowu na ul. Fabryczną zobaczyć, czy w ramach naglącej akcji zniknął już zagrożony dom. Dom podparty zerdziami stoi pochylony po dziś dzień. Stoi jak wyrzut, jak oskarżenie. Również niedawno otrzymałem z ust Naczelnika Wydziału Kwaterunkowego taką samą wymijającą odpowiedź jak przed laty, jak w roku 1952.

W międzyczasie powstał MDM, rozrósł się bardziej Muranów i wiele, wiele innych dzielnic nowej Warszawy. Nabudowano dużo biurowców, odbudowano z dużym pietyzmem i nie żałując środków pałace dawnych magnatów, ministerstwa dostały komfortowe gmachy, wzdłuż całej Marszałkowskiej powstały wspaniałe aleje. Warszawa z dnia na dzień staje się coraz piękniejsza, coraz wspanialsza i droższa. Pozostał tylko zagrożony dom nr 3 przy ul. Fabrycznej — dom zagrożony jak najbardziej z zagrożonych — i pozostałem ja, bezdomny — jak najbardziej bezdomny z bezdomnych, bo bezdomny od przeszło 10 lat, od roku w którym faszyści mordując i ojca, i matkę zniszczyli dom rodzinny.

Straciłem więc wiarę w słuszność argumentacji panów z Wydziału Kwaterunkowego. Nie ma spraw ważniejszych w tej chwili od mojej. Przez 4 lata moja sprawa nabyła rangę pierwszorzędnej ważności. Życie moje ostatnimi czasy stało się też zagrożone. Moje drobiazgi i moje książki leżą nieuporządkowane po różnych kątach. Życie traci już sens. A ja tak bardzo bym chciał, aby moje życie i moje książki nie leżały bez sensu.

Od czasu otrzymania pierwszej dowcipnej i parlamentarnej odpowiedzi z Wydziału Kwaterunkowego upływa już 3 lata. W tym czasie obce pokoje mijały „jak statki wisiane". Umieszczono mnie wprawdzie nawet w tzw. pokojach gościnnych, ale na warunkach opłat hotelowych. Nikt w instytucji, w której pracuję, nie odważył się na podjęcie jakiejś ludzkiej i dorzecznej decyzji. Dopiero Ob. Vice-minister obniżył opłaty hotelowe o... połowę (o, żałośnie mała kompetencjo ministra!). I tyle tylko zrobiono w ramach przepisów ustawy o zatrudnieniu absolwentów z nakazami pracy.

W tym czasie — powtarzając za Naczelnym Architektem Sigalinem — warszawiacy dostali ponad 90 000 izb. Nie wątpię, że przydziały dawano wyłącznie tym, którzy mieli pełne uprawnienia do otrzymania mieszkania w pierwszej kolejności. Uprawnienia te mogły być różnej natury, ale były wystarczające do otrzymania mieszkania. I tylko ustawa o planowym zatrudnieniu absolwentów, ustawa ludowego ustawodawstwa w Stolicy ludowego państwa nie dawała wystarczających uprawnień — mimo że nakładała na Wydział Kwaterunkowy wyraźne obowiązki.

I tu nastąpił szczyt zagrożenia. Począłem tracić wiarę w siebie i w to co mnie dookoła otacza w Warszawie. Bo czyż można wierzyć w powodzenie ambitnych planów przekształcenia miasta, przekształcenia starej Warszawy w nową, skoro zlekceważono w tej Warszawie czy zapomniano o takim niezbędnym ornamencie nowej Warszawy, jakim jest młody człowiek, absolwent z nakazem pracy. A przecież nawet o domkach dla gołębi nie zapomniano.

Drogi Redaktorze! Pomieszałem tu kilka spraw, ale inaczej nie mogłem. Bo gdyby chodziło tu tylko o moją sprawę, to napisałbym krótko: „W imię poszanowania ustaw w nowym mieście niechaj „Nowa Kultura" zajmie się tym, aby i mnie przydzielono po 4 latach jakiś gołębnik (na przykład ten przy ul. Piwnej 6, w którym zamurowano wreszcie okna, aby mieszkaniem zamienionym przez gołębie w jaskinię nie gorszyć higienistów i nie nasuwać smutnych refleksji bezdomnym absolwentom)." Ale nie chodzi tu tylko o mieszkanie dla mnie. Nie chciałbym również pozbawiać gołębi praw do gołębników (jakkolwiek mam pewne obawy, że te szare i miłe skądinąd ptaszyny mogą kiedyś naszą nową, choć może trochę i secesyjną lecz drogą Warszawę przykryć z wdzięczności swoim nawozem).

Boy pisząc kiedyś o dawnym Krakowie, w właściwy sobie dosadny sposób powiedział, że gdyby urzędy konserwatorskie istniały od zarania dziejów, to dużo ładnych i pożytecznych rzeczy nie mogłoby powstać (cytuję również z pamięci — wszystkie książki mam spakowane w trudno dostępnych tobołach!). Wiemy dobrze, o co chodziło Zeleńskiemu. Nie mam zamiaru i ja podważać celowości utrwalania śladów naszej kultury, ale ośmielam się pójść dalej i twierdzić, że gdyby od zarania naszej cywilizacji z takim smakoszostwem rekonstruowano i konserwowano każdą byle kamieniczkę zniszczoną aż do fundamentów pod wpływem czasu lub przez zawieruchy wojenne, ludzkość nie miałaby kiedy i gdzie wznosić nowoczesnych budowli i mieszkań. A takich kamieniczek zostało jeszcze dużo. Taka kamieniczka stoi na przykład również przy ul. Elektoralnej 3, straszy przechodniów śpieszących codziennie do pracy i niepotrzebnie moim zdaniem czeka na odbudowę.

Kamieniczka sobie stoi, stoi również zagrożony dom przy ul. Fabrycznej 3, czekają na mieszkania zagrożeni ludzie bezdomni, a Naczelny Architekt m. st. Warszawy z okazji dziesięciolecia wyzwolenia Stolicy snuje bajeczne plany granitowych bulwarów nad Wisłą. Wprawdzie sam przyznaje, że nie są to plany potrzeb, lecz plany możliwości, ale to tym większym napawa mnie niepokojem. Bo architektom i budowniczym w naszej ludowej ojczyźnie dano rzeczywiście możliwości ogromne. I ten przywilej architektów, jakiego nie mieli nigdy, nie zawsze jest przez nich wykorzystywany do zaspokajania najpilniejszych, najaktualniejszych potrzeb obywateli.

Dręczą mnie więc dysproporcje między sprawami ludzi w zagrożonych domach i zagrożonych ludzi bezdomnych — a sprawami wznoszonych i z pietyzmem rekonstruowanych zabytków, sprawami monumentalnych biurowców, bulwarów i ulic. A przecież te wszystkie sprawy nowej Warszawy, i nie tylko Warszawy, są równorzędne i jednakowe. A wśród tych spraw i moja sprawa. I nie wstydzę się powiedzieć, że nie mniej ważna. Sprawa zapomniana czy zlekceważona jak zaplecza w nowo pobudowanych domach mieszkalnych, jak sprawa kin, o które tak pięknie — i tak dotychczas bezskutecznie — walczy Jan Szeląg.

Przybyłem do Warszawy jako młodzieniec, ale oto mijają lata i przychodzi wiek, kiedy rodzi się obawa, że życie zejdzie na ustawicznym koczowaniu. A to bardzo smutne i straszne.

Wierzę, że tylko krytyką — i to krytyką jak najbardziej ostrą — sprowadzimy naszych kochanych architektów i ojców naszego miasta na ziemię, do spraw mniejszych niż bulwary nad Wisłą, ale bardziej aktualnych w swym przeznaczeniu służenia prostemu człowiekowi. W tej wierze zwracam się do Pana.

Łączę wyrazy szacunku

Edmund Sidorowicz

Nie dla dzieci

W obrocie księgarskim ukazują się od niedawna w masowym nakładzie (120.000) „bajki filmowe" wydawane przez Filmową Agencję Wydawniczą. Barwne okładki i liczne przyjemne ilustracje zachęcają do kupna. Kupujący nie przypuszcza, aby bajki te mogły być przeznaczone dla kogokolwiek innego poza dziećmi w wieku przedszkolnym lub uczęszczającymi do pierwszych klas szkoły podstawowej. Charakter książeczek sugeruje, że ich odbiorcą powinny być te dzieci, dla których przeznaczone są filmy rysunkowe, na których oparto „bajki filmowe". Kupiłem kilka takich książeczek. Cóż się okazuje? Są to uproszczone scenariusze filmów, podane w sposób mało interesujący, a w dodatku niezrozumiały dla dzieci młodszych. Dla przykładu kilka zdań z pierwszej lepszej książeczki (np. B. Łaskina „Miś na lodzie"). Na str. 30 czytamy: „Wszyscy na lodzie wirują w rytmie walca. Tańcząc — łyżwiarze tworzą wciąż nowe ruchome figury. Przewijają się przed trybuną wężem i spiralą, a w środku tych figur tańczą soliści". „Zajączek jeździ artystycznie na łyżwach. Wykonuje skomplikowane pas, następnie zuchowato wiruje na lodzie niby — bąk". Na str. 32 „Grzmi muzyka kwartetu. (...) Rozlega się melodia finału".

Byłbym zobowiązany za wyjaśnienie, dla kogo przeznaczone są te książeczki i czy wydawanie ich w masowym nakładzie nie jest nieporozumieniem.

Igor Andrejew

Dlaczego nie zapytacie nas?

Nie ma w kraju takiego pisma, które by nie zabierało głosu w sprawach młodzieży. Nic więc dziwnego, że „Nowa Kultura" także poświęciła parę uwag aktualnemu zagadnieniu. Słuszne jest również, że pisano szczególnie o młodych pisarzach i związanej z tym sprawie kół młodych. Rzecz charakterystyczna, że w tej całej literackiej dyskusji zabrakło tylko głosu... młodzieży. Czyżby przeoczenie? Bynajmniej. To skutki tego, że przyzwyczajono się decydować o młodych bez ich udziału. Czy można pisać co jest bolesnego wśród młodego pokolenia pisarzy, czy można czynić wielkie uogólnienia, jeśli się nie zna nawet wszystkich kół młodych? Bo kto może coś powiedzieć np. o kole wrocławskim? A chciałbym właśnie napisać coś o tym z ramienia najmłodszych. To znaczy o czym? O tej zapomnianej pod płotem, porzuconej, nikomu nie potrzebnej zabawce dla wyrośniętych dzieci — o terenowym kole młodych. Na wstępie pokażę jak wyglądają kulisy po zgaszeniu kolorowych świateł licznych obserwatorów z... Warszawy.

Koło liczy... właściwie nie wiem: 18 czy 5. Osiemnastu na liście, pięciu zbiera się, radzi, wykłóca, oburza, cieszy... a przede wszystkim pisze. A reszta? W dyskusji mówiono o nich — ludzie przypadkowi. Pomówmy o tych „przypadkach". Mamy wychować mądre, dojrzałe pokolenie literackie. Trudność polega na tym, że nie wiadomo kto będzie dobrym pisarzem, a kto wcale nim nie będzie. W codziennej pracy z młodzieżą trafiamy na setki młodych grafomanów. Wśród nich dziesięciu rokuje nadzieje na przyszłość. Może jeden z nich zostanie dobrym pisarzem. Nie będzie od rzeczy, jeśli stwierdzę, że dla tego jednego warto się zająć całą, posądzaną o talent dziesiątką. Dlatego też w dyskusji powiedziano: „młodym — jak najwięcej wzruszeń". Teoria. Wrocławska praktyka wygląda tak:

Weźmy tę piątkę, o której powiedziałem, że piszą. Koziołówna, znana i z prasy miejscowej, i z „Przedpola", pracuje w szkole średniej w Bystrzycy Kłodzkiej — dziurze zapadłej, gdzie ludzie się dziwią dlaczego „Cichy Don" daje się czytać młodzieży. — Piękne środowisko przysparzające wzruszeń... Do tego dodać trzeba nadmiar pracy społecznej o charakterze czysto papierkowym... I od dwu lat nie można przenieść tej młodej dziewczyny do Wrocławia. Kol. Mikołajek — autor katolizującej powieści, o której Newerly pisał: „...jest lepsza od wielu wydanych". Z „Iskier" kol. Mikołajek otrzymał taką odpowiedź: „Z przykrością zawiadamiamy, że książka nie nadaje się do druku. Red.". Co prawda powieść powtórnie została złożona w wydawnictwie po liście przepraszającym Mikołajka. Ale co byłoby, gdyby nie nasza dobra, kochana mamka — tow. Newerly? A teraz tylko nadmienię: Mikołajek, chory na płuca — pracuje w hucie jako wytapiacz. Do dziś — od dwu lat — nie może się dokołatać o odpowiednią posadę. Świństwo (przepraszam za wyrażenie). Dodajmy jeszcze: żona, dziecko, i jeden pokój...

Trzy podobne przykłady pomijam z braku miejsca. Wrócę do poruszonej sprawy. Dlaczego kolega z naszego koła załamany psychicznie udając się do Newerlego nie mógł w Warszawie wybłagać adresu naszego opiekuna? Daję to pod rozwagę tym towarzyszom, którzy jak np. Broszkiewicz z serdeczną troską zabierali głos o kołach i młodych pisarzach. Opiekunów koła z ramienia ZG ZLP nie ma. Był w styczniu na zebraniu Fiszer. Powiedział wiele ciekawych rzeczy, ale czy to nie za rzadko co dwa lata zawitać na jeden dzień do koła? A gdzie inni towarzysze pisarze, którzy by mogli raz w roku przyjechać?

A my, we Wrocławiu, po wyjeździe Dygata, Kowalskiego, Pierzchały, Kotta, Żukrowskiego poważnie cierpimy na brak opieki artystycznej. Oto co pisał tow. Baron, kierownik grupy partyjnej koła, w prasie miejscowej: „Kto ma powiedzieć młodemu, że to jest złe a to jest dobre..." i dalej „...widzę dwa nazwiska". Dwa! Towarzysze z Warszawy, czy potraficie zrozumieć co to znaczy dwa nazwiska i pustka dokoła i brak jakiejkolwiek możliwości druku?

Dość. To nie jest nawet połowa najważniejszych bolączek wrocławskiego koła. Jeżeli ktoś z towarzyszy zechce pofatygować się do nas, wygarniemy resztę z drapieżną złością. Ktoś pomyślałby: takie koło nie ma możliwości egzystencji.

Maciej Łazoryk
Członek Zarządu Wrocławskiego Koła Młodych Pisarzy

W odpowiedzi na list w sprawie kół młodych

Drogi Kolego!

Drukujemy Wasz list, aby tym samym zaprzeczyć Waszym przypuszczeniom, że „Nowa Kultura" jest Olimpem, na który można się wspiąć tylko z wydaną pozycją książkową. Sami wiecie, że to nieprawda. Niedawno dopiero drukowaliśmy kolumnę młodych prozaików i poetów, a kolumny takie organizujemy kilka razy do roku. Macie rację, to bardzo rzadko. Przyczyny tego stanu rzeczy są podwójne. Nasze pismo, jak zresztą inne pisma literackie, ma niewielką objętość i siłą rzeczy musi zaostrzać kryteria oceny utworów początkujących pisarzy. Z drugiej jednak strony częstsze zamieszczanie kolumny młodych nie udałoby się nam z tego powodu, że utwory nadsyłane przez młodych często nie są na poziomie druku. Z całą odpowiedzialnością musimy w takich razach zalecać młodym autorom cierpliwe czekanie na debiut, solidniejszą pracę nad sobą, zwiększenia autokrytycyzmu w stosunku do własnych prób literackich. Macie rację pisząc, że wśród wielu piszących członków kół młodych nieliczni tylko mają dane na to, aby pozostać wartościowymi pisarzami. Natomiast pozostali — im wcześniej zorientują się, że nie mogą w pisarstwie lokować całych swoich ambicji życiowych — tym lepiej dla nich, unikną wtedy wielu rozczarowań a nawet tragedii.

Oczywiście nie znaczy to, aby ci uzdolnieni młodzi pisarze, którzy potrzebują pomocy ze strony Związku Literatów, wydawnictw czy redakcji, nie mieli jej otrzymać. W tym względzie Wasz list jest słuszny i macie rację, że pomocy tej głośno i publicznie się domagacie.

Nie macie racji natomiast w tym co piszecie o dostarczaniu „wzruszeń młodym pisarzom". Ujmujecie to zresztą niejasno i nieprecyzyjnie. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby kandydaci na pisarzy mieli wzrastać w sztucznych rezerwatach, nie doświadczając trudności życia a nawet trudności debiutu. Pamiętajcie przy tym, że nie bardzo wypada być początkującym pisarzem X lat i dusić się latami, jak piszecie, we własnym sosie. Nie każdy musi być pisarzem. Przychodzi czas, kiedy trzeba umieć zadecydować o sobie — pisać czy nie pisać, czy ma się coś ważnego do powiedzenia w literaturze czy też nie. Wielu jest na pewno takich, którzy w głębi duszy rozstrzygnęli to pytanie na „nie". A jednak rodzaj życiowej bierności czy snobizmu każe im trzymać się niezaspokojonych ambicji literackich. Taka właśnie sytuacja wytwarza wewnętrzne kwasy, rozgoryczenia i narzekanie na rzekome lekceważenie ze strony „dorosłego" Związku.

W jednym jeszcze względzie Wasz list jest ważny i ciekawy. Artykuł Jerzego Broszkiewicza istotnie zbyt optymistycznie, jak mi się wydaje, maluje sytuację kół młodych. Wiem nawet o tym, że właśnie Wasze koło — wrocławskie — zostało na ogół bardzo pozytywnie ocenione przez komisję młodzieżową. List Wasz niewątpliwie wnosi sporo światła i w dużej mierze odkłamuje sytuację, którą Związek Literacki serdecznie chciałby widzieć w bardziej różowych barwach niż jest w rzeczywistości. Tworzenie Klubów Młodych Twórców z pewnością ożywi młodzieżowe środowiska literackie, ale mimo to konieczne wydaje się: po pierwsze — zrewidowanie samej organizacji kół młodych i form pomocy dla młodych i początkujących pisarzy przez Związek Literatów, po drugie — stworzenie m. in. młodzieżowego pisma literacko-artystycznego, które skupiałoby młode pióra. Sprawa takiego pisma młodych jest — jak mi wiadomo — poważnie dyskutowana. Przypuszczam, że tak jak dotychczas redakcja „Nowej Kultury" nie będzie także na przyszłość żałować miejsca na dyskusję nad tymi ważnymi sprawami.

Anna Kamieńska

Omyłka co do adresata

W nr 5 „Nowej Kultury", w dziale „Nowe książki", omawiając wydany przez nas tom opowiadań australijskich pt. „I drzewa mówią", K. Nast. pisze:

„I na koniec małe pytanie pod adresem wydawnictwa — jakim sposobem na karcie poprzedzającej właściwą kartę tytułową znajdujemy nagłówek: Lem „Astronauci"?

Odpowiedź jest prosta:

W drukarni, gdzie jednocześnie składa się, drukuje i oprawia wiele nieraz książek nieraz zdarza się, że w druku lub w introligatorni pomylą poszczególne strony czy nawet arkusze. Aby wyeliminować wadliwe egzemplarze, które nie powinny dostać się do rąk odbiorców, drukarnia poddaje cały nakład, przed ekspedycją, tzw. kontroli technicznej. Wydawnictwo otrzymuje tylko kilka egzemplarzy kontrolnych, na podstawie których stwierdza, czy książka może być wysłana przez drukarnię bezpośrednio do ekspozytur „Domu Książki". Jak z tego wynika, wydawnictwo nie kontroluje całego nakładu, ani nawet egzemplarzy recenzyjnych, i polega na stempelku, jaki kontroler techniczny drukarni stawia na ostatniej stronie każdego egzemplarza.

W wypadku tomu „I drzewa mówią" stwierdzamy, że egzemplarze kontrolne były poprawne. Egzemplarz, który otrzymała „Nowa Kultura" ma aż dwa stempelki: KT 47 i KT 50 (kontrola techniczna i numer kontrolera drukarni).

Powyższy — i niestety nie jedyny przykład świadczy o podwójnym brakoróbstwie w drukarniach (w danym wypadku — w „Domu Słowa Polskiego"): w produkcji i w kontroli technicznej.

K. Nast. słusznie zwraca uwagę na to poważne niedociągnięcie, ale myli się co do adresata.

SW „Czytelnik"

Nie jestem autorem

W artykule Romana Szydłowskiego pt. „Teatr twórczych poszukiwań", który był wydrukowany w „Nowej Kulturze" nr 3 br., widocznie przez pomyłkę podane jest moje nazwisko jako autora jednej ze współczesnych sztuk żydowskich.

Jak dotychczas jeszcze żadnej sztuki nie napisałem, a moje nazwisko prawdopodobnie zostało pomyłkowo podane zamiast nazwiska G. Smolara, właściwego autora sztuki o Botwinie pt. „Prosty żołnierz".

M. Szklar

Z życia ZLP

NAJBLIŻSZE ZEBRANIA SEKCJI TWÓRCZYCH ZLP

Dnia 21 lutego, w poniedziałek o godz. 17-ej odbędzie się zebranie Sekcji Literatury dla dzieci i młodzieży. Temat: plan pracy i zadania sekcji.

Dnia 24 lutego, w czwartek o godz. 17-ej odbędzie się zebranie Sekcji Przekładu. Temat: Romain Rolland i jego teatr. Ref. Z. Karczewskiej-Markiewicz, recytacje A. Szczepkowskiego.

Nakładem
PAŃSTWOWYCH ZAKŁADÓW WYDAWNICTW SZKOLNYCH
ukazała się książka
R. MATUSZEWSKIEGO:
Historia Literatury Polskiej
Materiały do nauczania dla klasy XI
Zeszyt I Warszawa 1955 r.
Cena obu części zeszytu I — zł 8,25
Praca składa się z 2 części objętych wspólnym podtytułem „Zeszyt I". Jedna z części zawiera szkice o twórczości Żeromskiego, Staffa, Tuwima, Nałkowskiej, Dąbrowskiej i Broniewskiego, druga — wybór utworów omawianych pisarzy
Do nabycia w księgarniach
„Domu Książki"
k 5156-1

Nie zapomnij o naszej ankiecie: „Nowa Kultura" w oczach czytelników

SPRAWOZDANIA I UWAGI

Dr Perkins przeciw strachowi

Dramat napisany przez Georgesa Sorię, pod tyt.: „Strach" (La Peur) stanowi jedną z najciekawszych pozycji teatru postępowego we Francji po wojnie, i to nie tylko ze względu na wartość samego dzieła, ale i z powodu rozgorzałej dokoła niego dyskusji. Sztuka ta, napisana przez komunistę —jest bodajże jedynym utworem lewicowym, omówionym ostatnio przez prasę burżuazyjną, która z reguły przemilcza lub zbywa niechętną wzmianką wybitne nawet osiągnięcia pisarzy postępowych (tak było np. z premierą „Niemców" Kruczkowskiego w Paryżu oraz z Vaillanda „Płk. Foster przyznaje się do winy"). Jest charakterystyczne zresztą, że „Strachem" nie zainteresowały się pisma o profilu konserwatywnym (np. „Les Nouvelles Littéraires", „Nouvelle Revue Française") czy reprezentujące liberalizm katolicki („La Table Ronde"); natomiast tygodniki burżuazji unowocześnionej, aktywnej, zbliżone do faszyzmu, jak „Figaro littéraire", „Carrefour", zamieszczają obszerne recenzje, jakie czytuje się z okazji czołowych premier paryskich — tytułując przy tym autora (który jest redaktorem „Humanité") per „Monsieur Georges Soria", zgodnie z tradycją krytyki francuskiej, nakazującej w ten sposób zwracać się do żyjącego dramaturga nawet, jeśli na innych kartach tego samego pisma nazwany jest sprzedawczykiem i zdrajcą ojczyzny.

Zainteresowanie to tłumaczy się przede wszystkim faktem, że Soria podejmuje współczesny temat polityczny. Jest to zdarzenie rzadkie w teatrze francuskim, pogrążonym w psychologizmie, poetycznych abstrakcjach oraz eksperymantach „awangardowych", od 30 lat takich samych — nie mówiąc o bulwarowym, mieszczańskim realizmie obyczajowym, również mało zmienionym od pół wieku. W ubiegłym i bieżącym sezonie na 72 teatry paryskie zaledwie jedną premierę (prócz Sorii) zaliczyć można do gatunku aktualno - politycznego, mianowicie angielską komedię P. Ustinova, gdzie przedstawiciele czterech mocarstw okupujących Niemcy (pułkownik radziecki, amerykański, Francuz, Anglik) ubiegają się o rękę symbolicznej Śpiącej Królewny, przy czym każdy usiłuje ją zdobyć odkrywając ze swej duszy to co ma najlepszego. Sztuka przekształca się w cztery żartobliwe skecze „psychoanalityczne", w których bohaterowie występują w rzekomo typowych dla swoich nacji „przebraniach psychologicznych" (Rosjanin jako sentymentalny, choć drążony niepokojem marzyciel z XIX wieku w stylu Czechowa, Francuz jako salonowy markiz-zdobywca itd.). I ta więc, z pozoru aktualna sztuka, okazuje się raczej literacką fantazją.

Recenzja sztuki Sorii w „Carrefour" zaczyna się od słów następujących: „W czasach, gdy na świecie nie dzieje się nic ważnego, dzienniki ukazują się aż na 12 stronach z trudem zapychanych przez opis błahych awantur ulicznych, przepisy kucharskie oraz porady dla „serc stroskanych". Bójka na bulwarze zajmuje pół strony z licznymi fotografiami, a „zrozpaczona Ninka" opowiada nam z detalami dzieje swej nieudanej miłości. Potem nadchodzi wojna, świat cały staje w płomieniach, toczy się gra o los naszej planety — wtedy dzienniki się kurczą. Jeśli wojna trwa cztery czy pięć lat, gazeta zmniejsza się do jednej kartki, wreszcie na świstku rozmiarów znaczka pocztowego znajdziemy wiadomość o deszczu bomb atomowych. Nasz teatr przypomina pod tym względem prasę. W świecie rozszarpywanym przez Tragedię, scena nasza robi się coraz mniejsza, i czym więcej miałaby do powiedzenia, tym usilniej tego unika. Nie wiem, czy era atomowa będzie miała w przyszłości swego Ajschylosa i Sofoklesa — jak dotąd, jedyny „dramat światowy", żywiący ambicję dostosowania się do naszych czasów, wystawiony jest na najmniejszej scenie Paryża, w teatrze Moceau, gdzie Pan Georges Soria wzywa nas, byśmy się zastanowili nad sprawą Rosenbergów". Ta opinia pochwalająca aktualność „Strachu" nie przeszkadza zresztą krytykowi „Carrefour", by w dalszym ciągu gwałtownie wystąpić przeciw Sorii.

WALKA O SUMIENIE. Dramat Sorii wywołał liczne repliki prasowe nie tylko ze względu na aktualność tematu, ale również dlatego, że stanowi rodzaj ingerencji ideologicznej; przechodząc na teren współczesnej myśli liberalnej, Soria pokazuje stające przed nią, nieuniknione konieczności moralne. Nie jest to polemika między komunizmem a liberalizmem, odgrodzonymi na swoich pozycjach i bombardującymi się wzajemnie, ale wejście w skórę przeciwnika, w tym celu, by pokazać jego nieuchronną przemianę. „Strach" jest jakby monografią liberała, który zaczyna stawać się komunistą. Z tego właśnie względu — jak się przekonamy — Soria wywołał zaciętą dyskusję w prasie prawicowej, ugodzonej niejako w centrum swej własnej ideologii.

Bohaterem sztuki Sorii, która właśnie do nas dotarła, jest doktór Perkins, postać imaginacyjna, biorąca jednak pośrednio udział w zdarzeniu autentycznym, mianowicie w procesie Rosenbergów. Perkins — mimo że jest człowiekiem nieposzlakowanym — złożył fałszywe świadectwo na temat drobnego szczegółu w trakcie procesu. Soria przedstawia to posunięcie doktora — w sposób paradoksalny — jako rezultat jego uczciwości, tak jak ją sobie Perkins wyobraża według wpojonych mu zasad. Zeznanie złożone zostało na życzenie policji i pod wpływem argumentacji ocierającej się o szantaż. Mianowicie córka doktora, Olivia Perkins, przebywa we Francji i oddaje się tam działalności „progresywnej", gdy wróci, może mieć kłopoty z władzami swojego kraju. Doktor potępia nielojalność obywatelską córki i idzie na rękę policji chcąc zmazać błąd Oliwii; w dodatku pragnąłby oszczędzić przykrości swemu dziecku, i jest to bodaj jedyna małoduszność prywatna — dość szlachetna! — na jaką sobie pozwala. Doktor uspokaja się argumentem, że skoro policja jego kraju życzy sobie jego pomocy, nie powinien odmawiać w interesie publicznym; jest zresztą przekonany, że Rosenbergowie —mimo że winni—zostaną ułaskawieni. Zresztą, drobiazg podany przez doktora w fałszywym zeznaniu, nie może mieć wielkiego wpływu na przebieg procesu.

Okazuje się, że jest inaczej: Rosenbergowie zostają straceni — błahe świadectwo doktora nie było bez znaczenia. Wraca tymczasem Oliwia, która jest uosobieniem niepokoju sumienia tej amerykańskiej rodziny. Jej narzeczony, młody uczony, stanowi przykład przeciętnego młodzieńca o niebogatym życiu wewnętrznym, ufającego rządowi i kierującego się automatycznymi odruchami, wpojonymi mu przez wychowanie. Bob nie zamierza ryzykować swej kariery przez niebaczne wmieszanie się do sprawy Rosenbergów. Dopiero miłość do Oliwii budzi w nim samodzielność myślową; Oliwia, która znała Rosenbergów i jest przekonana o ich niewinności, przekształca swego narzeczonego, dotychczas kierującego się w życiu kilkoma tikami — w aktywnego humanistę, nie wahającego się teraz wziąć udział w naiwnej demonstracji w trakcie defilady przed trumnami Rosenbergów. Bob zostaje aresztowany i pobity przez policję; od tej chwili staje się pełnym, myślącym człowiekiem.

Przemiana Boba trąci schematyzmem i stanowi najsłabszą może część sztuki; znacznie ciekawiej przedstawiona jest walka wewnętrzna doktora. Dręczony wyrzutami sumienia, Perkins opowiada Oliwii o fałszywym zeznaniu, usprawiedliwiając się chęcią oszczędzenia cierpień córce. Oliwia czuje się współodpowiedzialna za postępek doktora dokonany w jej interesie. Soria starał się nadać postaci tej dziewczyny, która marzy o idealnej sprawiedliwości, cechy zbliżające ją do nowoczesnej Antygony. Największą wartością jest dla niej nie wygoda, zdająca się być celem życiowym jej otoczenia, ale poczucie wewnętrznego porządku moralnego. Oliwia nie zazna spokoju, dopóki błąd doktora nie będzie naprawiony, i wzywa go do odwołania zeznania właśnie dlatego, że ojciec ją kocha.

Perkins toczy teraz z sobą walkę, której opis stanowi najwartościowszą część sztuki. Powstrzymuje go nie tylko lęk z powodu zagrażających mu ciosów materialnych: jeśli wycofa swoje zeznanie, córka jego stanie się ofiarą dochodzenia jako „działacz antypaństwowy" — a on sam nie będzie mógł wykonywać swego zawodu, potępiony przez opinię. W dodatku, gest jego nie uratuje nieżyjących już skazańców i będzie miał znaczenie demonstracyjnego aktu na rzecz komunistów, obcych doktorowi, „wykorzystujących dla propagandy" sprawę Rosenbergów. Prócz tych konsekwencji rzeczowych, Perkins musi też przezwyciężyć własną postawę ideologiczną. Tutaj dramat Sorii pokazuje charakterystyczne zjawisko podobne do opisanego przez Sartre'a w „Ladacznicy z zasadami". Bohaterka Sartre'a, dziewczyna w gruncie uczciwa, gubi niewinnego Murzyna, sądzi że tak być powinno, że jest jej państwowym obowiązkiem ugiąć się wobec żądania senatora, który reprezentuje wyższy porządek i w jego imieniu domaga się od niej kłamstwa. Być może, doktor — nie tyle mimo swej uczciwości, co właśnie dzięki swej uczciwości — złożyłby nieścisłe zeznania nawet gdyby mu nie grożono prześladowaniem córki. Teraz Perkins musi przezwyciężyć nie tylko obawę przed oczekującymi go kłopotami życiowymi, ale też przed pustką ideową, jaka się przed nim otworzy, gdy sprzeniewierzy się on swej tradycji lojalnego liberała wierzącego w doskonałe, sprawiedliwe urządzenia swojego systemu.

Ten podwójny strach — przed trudnościami, które zatrują mu ostatnie lata życia, i przed wątpliwością wewnętrzną jaka przed nim stanie — paraliżuje doktora. Jego wyobraźnia powiększa jeszcze przewidywane klęski. W tym momencie zjawia się postać personifikująca grozę drążącą Perkinsa: policjant, który się dowiedział, że doktor przygotował list odwołujący fałszywe zeznanie, lecz lęka się go wysłać. W osobie tej widzimy całe łajdactwo władzy, którą Perkins wyobrażał sobie jako potęgę moralną. Szantaż godzący teraz w doktora jest tak brutalny, tak nieludzki, tak niski, że bohater już się nie waha: zobaczył prawdziwe, zmaterializowane niejako oblicze grozy, którą sobie niejaśno wyobrażał, i postanawia stawić jej czoło: list zostanie wysłany.

ZNISZCZENIE „OSTATNIEJ WARTOŚCI". Tematem dramatu Sorii jest więc wewnętrzna rozterka typowego liberała — nie tyle może amerykańskiego co francuskiego, w obliczu ostatnich przemian w świecie. Wartość systemu liberalnego (w oczach jego zwolenników) polega na gwarancji licznych swobód obywatelskich, jako to prawa do założenia sklepiku, wyjazdu za granicę, ogłaszania drukiem co się komu podoba itd. W ciągu ostatnich lat, wolności te kurczą się, ograniczane coraz to nowymi zarządzeniami administracyjnymi. Politycy tłumaczą owe posunięcia koniecznością obrony samego systemu liberalnego, zagrożonego przez komunizm. W rozumowaniu tym kryje się sprzeczność: system, którego jedyną ideologią jest gwarancja wolności, broni się przy pomocy likwidowania owych właśnie wolności. Publicyści Zachodu ukuli na określenie tej paradoksalnej sytuacji termin „moralność oblężonego miasta", nie mniej popularny niż „żelazna kurtyna". W głośnej przed paru laty sztuce Simone de Beauvoir „Les bouches inutiles" (Niepotrzebne gęby) widzimy symboliczną twierdzę średniowieczną, oblęganą całe lata przez nieprzyjaciół. Wobec braku żywności obrońcy postanawiają zgładzić mieszkańców, którzy nie są niezbędni w walce. W miarę ustalania listy „niepotrzebnych" okazuje się, że ci którzy zostali, po utracie żon, dzieci, krewnych itd. również nie mają celu, by żyć dalej: wszyscy stali się „niepotrzebni", miasto uległo samozagładzie.

Czując, że teren kurczy się pod stopami, francuski liberał pociesza się przynajmniej wiarą w wymiar sprawiedliwości swego systemu, w przeciwieństwie do wiadomości, jakie przynosi mu jego prasa o jurysdykcji rewolucyjnej, sumarycznej, fanatycznej, krzywdzącej jednostkę w interesie zbiorowości. Wychowany w tradycji procesu Dreyfusa, uważa on sądownictwo za twierdzę wolności, ową „ostatnią wartość", ocalałą w surowych czasach mobilizacji powszechnej. Przebieg sprawy Rosenbergów zadał cios temu przekonaniu. Opinia francuska, jak wiadomo, była wyjątkowo jednomyślna w tym wypadku, i pisma prawicowe domagały się ułaskawienia, nie bacząc że komuniści również tego żądają. Dla przeciętnego liberała francuskiego proces Rosenbergów był typowo „poszlakowy", bez wystarczających dowodów winy i bez przyznania się oskarżonych; w wypadku takim — nawet jeśli istnieje przekonanie o przestępstwie — jurysdykcja francuska unika wyroku śmierci, tym więcej gdy w sprawę zaangażowane są potężne interesy polityczne. Obserwatorzy amerykańscy w Paryżu proponowali nawet ułaskawienie skazanych, wyłącznie po to, by skaptować opinię francuską, zaś Lipman pisał z tej okazji o „braku europejskiej perspektywy" w Waszyngtonie. Po straceniu Rosenbergów reakcyjny „Figaro" stwierdził: „Zza Oceanu zabrzmiał głos otrzeźwienia: nie żyjemy w epoce anachronicznej wolności, ale okrutnej walki".

Widząc zagładę swoich „ostatnich wartości", doktor Perkins ze „Strachu" Sorii ma coraz mniej powodów, by pozostać liberałem. Jego świat złożony z rozmaitych „wolności" rozsypuje się w jego oczach, nie dając mu żadnej innej, zadowalającej interpretacji naszych czasów. Doktor Perkins, w poszukiwaniu ideologii, musi się zwrócić w inną stronę. W chwili gdy kurtyna spada, ten typowy liberał jest na drodze do przeobrażenia się w komunistę. Jest to zapewne droga długa, ale wartością dramatu Sorii jest pokazanie w sposób przekonujący pierwszego na niej kroku.

Słuszność analizy Sorii potwierdzają jego krytycy z obozu przeciwnego, upatrując w jego dramacie „opis zbliżającego się niebezpieczeństwa". Poza tym mają do niego już tylko pretensje formalnoliterackie, z których jedna zwłaszcza uderza paradoksalnością: że sprawiedliwości nie można bronić na wypadku konkretnie współczesnym, bo tu zawsze się wpadnie w „doraźną użytkowość", ale należy wziąć temat abstrakcyjnie ideowy, np. dzieje Antygony. Na zarzut ten słusznie odpowiedziano, że w czasach Sofoklesa temat Antygony był równie drastyczny co sprawa Rosenbergów; pod pretensją tą kryje się chęć ucieczki od współczesności. Tak więc nawet krytyka adwersarzy potwierdza, że Soria dał autentyczny obraz pewnego procesu umysłowego, drażącego liberalizm zachodni.

Zygmunt Kałużyński

Książki

„WARSZAWA WIEKU OŚWIECENIA" PIW 1954, wybór i opracowanie Jana Kotta i Stanisława Lorentza.

„Warszawa wieku oświecenia" nie jest monografią naszej stolicy w tym okresie. Warszawa ta została pokazana tak, jak ją widzieli ludzie epoki Oświecenia. Książkę tworzą wybrane fragmenty literackie, grafika, reprodukcje malarskie, zajęcia zabytków architektury. Dobór tekstów i ilustracji daje obszerny epicki obraz miasta, w którym znajdują swój wyraz sprawy obyczajowe, społeczne i polityczne.

Poprzez karty tej książki przesuwają się postacie jercykowatych, sfrancuziałych warszawskich młodzieńców, modnych dam, przedwiegłych mnichów, sarmatów - prowincjałów, wielkich myślicieli i reformatorów społecznych, bonaterskich mieszczan - rewolucjonistów. Przytoczone utwory literackie — satyry, pamflety, fraszki, fragmenty dramatów, kartki pamiętników, urywki większych traktatów polityczno-społecznych, ustępy publicystyczne wyszły spod piór najwybitniejszych pisarzy tych czasów: Krasickiego, Niemcewicza, Zabłockiego, Kozmiana, Naruszewicza, Staszica i Kołłątaja, i pamiętnikarzy takich, jak Kitowicz, Ochocki, Niemcewicz, Bukar, Karpiński i Wójcicki. Uwzględniono także wiele utworów pisarzy nieznanych i kilka pieśni ludowych.

Na stronę graficzną książki, która stanowi conajmniej połowę jej zawartości składają się reprodukcje płócien Canaletta, akwarel Vogla, dzieł Norblina, Orłowskiego, Płońskiego oraz rysunki i projekty architektoniczne Zuga i Szregera.

Wydawnictwo jest piękne, cenne, dobór tekstów spełnia swe zadania, dobre reprodukcje cieszą oko i dostarczają wzruszeń artystycznych. Papier także bez zarzutu, no ale jak zwykle przy takich kosztownych edycjach — za niski nakład, zaledwie 5 000 egzemplarzy.

Tyle uwag płynących z obowiązku informatora. Jako czytelnik książki, pozostający jeszcze pod urokiem lektury, pragnę zachęcić do zapoznania się z tym tomem wszystkich, którym drogie są tradycje kulturalne starej Warszawy.

ZYGMUNT NIEDŹWIECKI „PROSZĘ O GŁOS" wybór nowel WL 1954.

Zygmunt Niedźwiecki bardzo popularny w swoich czasach (1865—1918) pisarz Galicji został zapomniany przez potomnych. Nazwisko jego nie wiele już dzisiaj mówi szerokim rzeszom czytelników. Przygotowany przez WL wybór nowel pozwoli nam zapoznać się z najciekawszymi jego utworami. Wyboru dokonano na podstawie materiału zawartego w dwunastu tomach nowel napisanych w latach 1896—1908. W wybranym przez WL tomie znajdziemy 32 nowele podane zgodnie z najpoprawniejszymi edycjami wydań książkowych. Nowele Niedźwieckiego są krzywym zwierciadłem społeczeństwa ówczesnej Galicji. Autor bezlitośnie ośmiesza znienawidzone środowisko: goniących za karierą urzędników, dusigroszów zbijających majątki, ograniczonych pedagogów, bezmyślną „złotą młodzież". Daje także portrety satyryczne ówczesnych arystokratów i ponury obraz nędzy i ciemnoty chłopstwa. Największą jednak zasługą Niedźwieckiego jest umiejętność dostrzeżenia zasadniczego konfliktu epoki, konfliktu proletariusza i kapitalisty. Znalazło to swój wyraz artystyczny w utworach z lat 1891—1898. Ówczesna krytyka literacka określiła Niedźwieckiego jako „naturalistę" wytykając mu bezceremonialną brutalność, z jaką poruszał problemy obyczajowe i moralne. Jan Błoński — autor przedmowy do tego wydania przyznaje tym krytykom pewną słuszność. Pierwsze dwa tomy nowel „Słońce" i „Jedyne dzieło" były przesycone seksualizmem, odsłaniały brutalną pogoń za pieniądzem, uczuciowe i moralne ubóstwo społeczeństwa. Jednak — pisze Błoński — „mimo niewątpliwych trywialności i przejaskrawień w pierwszych nowelach Niedźwieckiego musimy dojrzeć sporo zawartej w nich - realistycznej prawdy o ówczesnym społeczeństwie. Prawdy w krytyce, w negacji — na których jednak młody pisarz nie chciał poprzestać". Najbardziej jednolita i jednoznaczna jest wymowa ideowo-polityczna utworów z tomu „U ogniska" (1892), gdzie problemem centralnym, otwarcie stawianym przez pisarza, jest walka robotników z kapitalistą. Autor związany z galicyjskim „Naprzodem", nie dostrzegał reformistycznych tendencji, jakie reprezentowało to pismo w roku 1892. Patrzył na życie i opisywał wiernie to, co widział, nie wchodząc w trudne i skomplikowane wówczas zagadnienia ideologiczne.

W ostatnim okresie twórczości wraca Niedźwiecki do tematyki pierwszych tomów, skierowując całą swoją pasję pisarską do walki z drobnomieszczaństwem. Ciętość pióra i satyryczny ton tych nowel zapewnia im poczytność u współczesnych odbiorców.

SVATOPLUK CECH „JASTRZĄB CONTRA GOŁĄBEK" Czytelnik 1955. tłumaczył Andrzej Sieczkowski, ilustrował Antoni Uniechowski.

Opowiadanie „Jastrząb contra Gołąbek" Svatopluka Cecha, klasyka literatury czeskiej drugiej połowy XIX wieku cieszy się wśród czytelników czeskich wielką popularnością. (Ostatnio nawet ukazała się jego filmowa przeróbka). Andrzej Sieczkowski we wstępie do tej książki omawia m. in. bardzo obszernie twórczość poetycką Cecha, która stanowi ogromną część jego puścizny literackiej. Autor przedmowy przypomina także naszym czytelnikom przetłumaczone na język polski „Wyprawy pana Brouczka", tegoż autora. Opowiadanie zaś „Jastrząb contra Gołąbek" porównuje z opowieścią Prusa „Pałac i rudera". Akcja utworu rozgrywa się w końcu lat 60-tych, lub na początku 70-tych ubiegłego stulecia. Zasadniczym problemem opowiadania jest starcie się dwóch światów, feudalizmu i kapitalizmu. Sieczkowski pisze o tej noweli, że „stanowi ona jedno z ogniw walki, jaką pisarz toczył z otaczającym go światem coraz żarłoczniejszego kapitalizmu, a zarazem świadczy o krytycznym spojrzeniu autora na zamierający już świat poprzedniej epoki".

Bogactwo typów, mistrzosko skreślone portrety psychologiczne, satyryczne ujęcie i humor to walory prozy Cecha, którą porównać można z najlepszymi kartami Dickensa, Czechowa czy Prusa.

JAKINTE LISASZWILI „ICH MŁODE LATA" Czytelnik 1955, tłumaczył Władysław Broniewski.

Jakinte Lisaszwili — wybitny pisarz gruziński życie swoje i pracę pisarską poświęcił sprawie rewolucji. W latach 1919-20, kiedy u władzy byli w Gruzji mieńszewicy, został uwięziony za utrzymywanie kontaktu z organizacją bolszewicką. W więzieniu powstały jego pierwsze utwory literackie, publikowane później w prasie radzieckiej i w pierwszym piśmie gruzińskich pisarzy pod nazwą „Kura". Po wyjściu z więzienia Lisaszwili, który ukończył zaledwie szkółkę wiejską w swojej rodzinnej Szroni, studiuje na uniwersytecie komunistycznym i kontynuuje szeroko zakrojoną pracę samokształceniową. Lisaszwili zaczynał swą twórczość literacką od poezji. Potem jednak poświęcił się całkowicie prozie i wydał wiele poczytnych, przekładanych na inne języki narodów Związku Radzieckiego powieści.

„Ich młode lata" jest powieścią o gruzińskim rewolucjoniście Łado Kecchoweli, który wraz z Józefem Stalinem — czytamy w nocie redakcyjnej — „pierwszy zasiał wśród robotników Gruzji ziarno rewolucji".

K. Nast.

HENRYK HEINE

ZABAWA

Choć serca nasze sympatią złączone,
byliśmy wzorem zgodnego współżycia.
Bawiliśmy się w męża i żonę,
a przecież obeszło się bez bicia.

Rys. Maja Berezowska

Zabawy dziecinne, igraszki niewinne...
I tak głęboko, i tak dokumentnie
Igraszki niewinne, zabawy dziecinne...
„Zabawmy się raz w chowanego!" — „Chętnie".
Schowaliśmy się w gęstym borze,
że jedno drugiego odnaleźć nie może.

Przełożył **Artur Marya Swinarski**

ZA GRANICĄ

„KADET BIEGLER zgłosił się do raportu" — pod tym tytułem organ KC KPCz zamieszcza przedruk listu, który jest sensacją dla wielbicieli Jarosława Haszka i jego Szwejka. List ten nadszedł niedawno z Drezna do berlińskiego Dietz Verlag, które wznowiło „Szwejka" po niemiecku. „Zdziwicie się z pewnością, szanowni panowie, że nagle ożywa jedna z postaci dzieła, które wydaliście"... — pisze m. in. autentyczny Hans Biegler. „Pisarz Haszek służył rzeczywiście pod moją komendą w latach 1914 — 1915, podobnie jak jego kolega Vaniek... Pułkownik Schlager, kapitan Sagner, nadporucznik Lukasz, Wolf i Kolarz — wszyscy oni żyli w rzeczywistości... Mam nawet fotografie z tego okresu... To co o mnie Haszek napisał, jest przeważnie prawdą... Kapitan Sagner naprawdę był taki. Natomiast nadporucznik Lukasz jest silnie przerysowany"... Komentując powyższą wypowiedź „Rude Pravo" dodaje od siebie: „List jest cennym dokumentem naświetlającym metodę pracy twórczej Haszka. W ten sposób fakt, że Haszek czerpał zawsze z rzeczywistości — potwierdza się. Mistrzostwo Haszka polegało na tym, że umiał zawsze wybrać i opisać to co typowe. Dlatego Szwejk jest ciągle aktualny i zdobywa sobie coraz to nowych czytelników zarówno w kraju, jak i za granicą". (a)

*

„LITIERATURNAJA GAZIETA" przyniosła w ostatnich numerach wiele wypowiedzi pisarzy radzieckich na temat ich planów twórczych w najbliższym okresie. I tak np. M. Bubiennow, autor „Białej brzozy", zwierza się, że przerwał pracę nad III tomem tej książki, postanawiając napisać powieść o nowym wielkim przedsięwzięciu młodzieży radzieckiej. Powieść tę pt. „Orli step" ma zamiar ukończyć w połowie br. Wraz z młodzieżą wyjechało na odłogi wielu pisarzy, malarzy, kompozytorów i poetów. Aleksander Jaszyn oznajmia, że napisał już „w terenie" nowy tom wierszy: „Świeży chleb". Romantyczny temat obrał W. Ażajew, który ukończył niedawno powieść pt. „Wieczny mróz". Ażajew odda tę powieść do druku po skonfrontowaniu jej z podróżą do obszarów „wiecznego lodu", którą przedsięwziął. Prócz tego Ażajew przygotowuje powieść o powszednim życiu mieszkańców Moskwy. F. Gładkow ma zamiar ukończyć w br. czwarty tom swojej epopei autobiograficznej. W nowej powieści W. Katajewa spotkamy się ze znanymi nam od dawna z powieści „Samotny, biały żagiel" — bohaterami, których zobaczymy już w latach 1910 — 1912. Z poetów obiecują nowe wiersze K. Simonow i M. Tichonow, jak również Wiera Inber. W twórczości krytycznej i teoretycznej można oczekiwać książki W. Jermiłowa o literaturze radzieckiej oraz studiów o Gorkim i Dostojewskim. K. Czukowski pisze „O Czechowie i jego mistrzostwie" oraz przygotowuje do druku wspomnienia o Repinie, Gorkim, Szalapinie, Majakowskim i in. Poważnym wydarzeniem będzie niewątpliwie ukazanie się książki B. Mejłacha z zagadnień estetyki marksistowskiej. (a)

*

W HADZE ukazała się książka W. Weintrauba pt. „The Poetry of Adam Mickiewicz" („Poezje Adama Mickiewicza"). „The Times Literary Supplement" recenzując tę książkę pisze: „Mimo obecnie dość licznych, ale nie budzących zainteresowania esejów krytycznych i vies romancés, popularność swą Adam Mickiewicz zdaje się u nas zawdzięczać więcej pomnikowi Bourdelle'a na Placu d'Alma (Paryż), niż szerszej znajomości jego utworów... Czytelnik znajdzie w książce Weintrauba słuszne uwagi na temat metryki i omówienie „Pana Tadeusza". Ale nie ulega wątpliwości, że książka ta nie zdobędzie czytelników... Zajmując się wąskimi zagadnieniami literackimi, a z drugiej strony podkreślając apolityczność wielu utworów Mickiewicza autor zredukował wartość swojej książki do mizernego zlepku wystrzyżonych nożyczkami i sklejonych wiadomości". — Tyle o popularyzacji Mickiewicza na Zachodzie przez emigracyjnych „polonistów". Musi być źle z tą popularyzacją, skoro nawet dla burżuazyjnego i konserwatywnego „The Times Literary Supplement" negowanie społeczno-politycznych aspektów poezji Mickiewiczowskiej jest nie do przyjęcia. (a)

*

LISTY DANIELA DEFOE ukazały się niedawno w wydaniu „Oxford University Press". Wydawnictwo obejmuje przedruk listów Defoe, jego notatki i zapiski. „Pokazują one podniecającą atmosferę pracy pisarza, który w ich świetle okazuje się pomysłowym i niezmordowanym tajnym agentem; stanowią one komentarz wyjaśniający ówczesne sprawy polityczne i religijne" — czytamy w zapowiedzi wydawniczej „Oxford University Press". (a)

*

ZAPISKI BIELIŃSKIEGO z lat 1828 — 1830 odkryto niedawno w bibliotece im. Sałtykowa - Szczedryna w Leningradzie. Manuskrypt zawiera m. in. uwagi o utworach poetyckich współczesnych Bielińskiemu poetów i oceny ich twórczości. (a)

*

„SKUTOCZNOST" — to słowacki tytuł książki Jerzego Putramenta („Rzeczywistość"), która ukazała się w Bratysławie nakładem wydawnictwa „Slovensky spisovatel". Recenzując obszernie „Skutocznost" miesięcznik Związku Pisarzy Słowackich „Slovenske pohliady" zauważa: „Dzięki przekładowi Jana Sedlaka, któremu udało się przekazać w dostatecznej mierze brzmienie oryginału czytelnikom słowackim, otrzymaliśmy pionierską książkę nowej prozy polskiej. Temat i okres czasu, w którym dzieje się treść książki, wypełnia częściowo wielką lukę naszej twórczości oryginalnej; poza książkami „Farska republika" („Republika księży") i „Pokoleniem" („Pokolenie") Karvasza — nie możemy się w tej dziedzinie pochlubić niczym". Recenzent snuje wiele analogii przy okazji omawiania treści książki Putramenta odnośnie sytuacji w podobnych środowiskach słowackich przed wojną. Wreszcie recenzja gromi wydawnictwo za niestaranną szatę graficzną wydania słowackiego, przeciwstawiając mu staranne wydanie „Rzeczywistości" w jęz. czeskim. (a)

*

WYBÓR WIERSZY BRONIEWSKIEGO ukazał się niedawno w Budapeszcie. Przekładał Gabor Devecseri, poeta, laureat nagrody Kossutha. (s)

*

WYBÓR BAJEK PERSKICH Anny Milskiej i Wandy Markowskiej z ilustracjami Jana M. Szancera w niemieckim przekładzie Leo Lasińskiego — ukazał się w II wydaniu w berlińskim wydawnictwie Alfred Holz Verlag. (a)

*

Z CYKLU „LUDY ŚWIATA", którego wydawanie podjął Instytut Etnograficzny Akademii Nauk ZSRR, ukazał się tom pierwszy, poświęcony Afryce. Tom obejmuje szkice monograficzne o ludach afrykańskich, poczynając od ich prehistorii. (a)

*

PO COMICSACH przychodzi obecnie kolej na filmy amerykańskie. Jak donosi ostatnio prasa zachodnio-europejska, Liga Arabska wezwała wszystkie kraje arabskie do bojkotu hollywoodzkiego filmu „Saadia", który uwłacza godności narodowej Arabów. Także w Indiach zakazano wyświetlania filmu amerykańskiego: „Blondyny przede wszystkim". Coraz liczniejsze głosy przeciw szmirze z Hollywood odzywają się w Anglii, Francji, Szwajcarii i w Niemczech Zachodnich. Najradykalniej, jak dotąd, postąpili Norwegowie, którzy bojkotują całkowicie filmy produkowane przez wytwórnie „Warner Brothers" i wszystkie filmy „Paramountu". W Hollywood tamtejsze rekiny filmowe — jak pisze prasa amerykańska — spodziewają się kryzysu. W ciągu trzech ostatnich lat zamknęło swoje podwoje ok. 5.000 kinoteatrów w Stanach Zjednoczonych. Mimo że w ciągu ostatnich sześciu lat ludność Stanów Zjednoczonych wzrosła o 15 milionów, ilość widzów spadła do połowy. Tym bardziej więc Hollywood troszczy się o eksport stanowiący dwie trzecie jego produkcji... W sprawie trudności, przed jakimi stoją potentaci filmowi z Hollywoodu, zabrał ostatnio głos sam mr Samuel Goldwyn, szef znanej wytwórni „Metro-Goldwyn-Mayer". Mr. Samuel Goldwyn stwierdził ze znawstwem: „Najlepsze nasze filmy mają mało, albo w ogóle nie mają — treści. Nasza obawa przed cenzurą idzie tak daleko, że nie pozwala nam pokazywać życia takim jakim jest ono naprawdę. Produkujemy ciągle, kręcąc się w miejscu, wielkie ilości pustych, malutkich bajeczek, które nie mają n i c w s p ó l n e g o z n i c z y m. (a)

SŁAWOMIR MROŻEK

Poezja

Pani nauczycielka kazała wyjąć zeszyty. Siedząca w pierwszej ławce uczennica pod każdym względem wzorowa natychmiast spełniła polecenie. Wyciągnęła z teczki nowiutki zeszyt ceglastej barwy i położyła go przed sobą. Było to dziecko ani nie za grube, ani za chude, wyglądała tak właśnie jak wygląda posłuszna córeczka, która je pożywne obiady i nie grymasi. Warkoczyki miała dokładnie zaplecione i ani mowy o tym, żeby kosmyki włosów rozsypywały się nieładnie. Pończochy ściśle obciągnięte, bez brzydkich obwarzanków, a bucik tak czyste, że każdy od razu wiedział: O! ta dziewczynka nie wchodzi naumyślnie w kałuże, kiedy wraca ze szkoły, na pewno nie!

Postawiwszy kropkę po ostatnim słowie napisanym na tablicy — pani nauczycielka wytłumaczyła dzieciom, co to jest poezja. Mianowicie, jeżeli wyrazy kończą się tak samo, to znaczy, że dzieci odczytujące te wyrazy mają do czynienia z poezją. Jako przykład pani nauczycielka podała: szkoła — woła, dzwonek — ogonek, domek — Tomek. Następnie przez kilka minut dzieci zgadywały, jaka jest poezja do rozmaitych słów podawanych przez panią nauczycielkę. Celowała w tym nasza wzorowa uczennica. Pani nauczycielka wołała na przykład: kuleczka! Urocze to stworzenie natychmiast odpowiadało: bułeczka! — przy czym jej chabrowe oczki rozjaśniały się radością, że oto nie minęła jeszcze połowa lekcji, a ona już umie coś nowego.

Pewne zamieszanie zdarzyło się tylko z Józefkiem, który siedział w ostatniej ławce. Zagadnięty słowem — kijaszek, zamiast odpowiedzieć zgodnie z prawidłami sztuki — wujaszek — odpowiedział: trąbka. Wszyscy się zdziwili a pani nauczycielka zganiła go za to. Ale on upierał się ponuro: trąbka, przy czym wyglądał bardzo śmiesznie, ponieważ włosy rosły mu do przodu.

Później pani nauczycielka powiedziała: Moje dzieci, wiecie już co to jest poezja. Otóż największym poetą był Adam Mickiewicz. Na tablicy macie napisany jeden wiersz poety Adama Mickiewicza. Proszę go przepisać czysto do zeszycików, a w domu nauczyć się na pamięć.

Wzorowa uczennica natychmiast przystąpiła do zadania. Skrzypiąc nową stalówką pisała na czyściutkim zeszycie, absolutnie bez „oslich uszu" — prosto i wyraźnie:

Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała...

Lekcja się skończyła i dzieci poszły do domów. Również nasza malutka, starannie omijając kałuże, skierowała się do domu. Ucałowała mamusię i tatusia, zjadła rosołek i gulasz, aby po godzinie ciszy poobiedniej zasiąść do odrabiania lekcji. Otworzyła zeszyt i zamyśliła się. Teraz dopiero zauważyła, że w zeszycie znajdują się dwa wiersze. Jeden przepisany z tablicy — i drugi wydrukowany dużymi literami przez wytwórnię zeszytów, na okładce: „Czy wiesz, że z gnidy była, jest i będzie wesz?"

Który z nich został zadany przez panią nauczycielkę? Biedne dziecko ani rusz nie mogło sobie przypomnieć, oba były dobre. Jeden: „Żytem — rozmaitem", a drugi: „wiesz — wesz".

W końcu, ponieważ zawsze przyzwyczajano ją do porządku, więc nauczyła się według kolejności, od lewej strony do prawej, tego „wiesz — wesz", po czym udała się na przechadzkę z mamusią.

Nazajutrz, wywołana przez panią nauczycielkę, wyrecytowała to czego się nauczyła i ku swojemu zdumieniu i rozpaczy po raz pierwszy w życiu otrzymała notę niedostateczną. Reszta lekcji minęła spokojnie, pewne zamieszanie było tylko z Józefkiem, który niczego się nie nauczył.

Nikt nie wiedział, że zmiana w usposobieniu małej zaszła w tym właśnie dniu. Po drodze do domu zauważyła napis w oknie wystawowym: „Oszczędzając pracę żony jedz gotowe makarony". „Żony — makarony" — powtarzała sobie, brnąc z satysfakcją przez kałuże, W domu przeglądnęła starannie okładki wszystkich zeszytów, na każdej było coś nadrukowane, choć nie zawsze były to wiersze. Na przykład na jednej było napisane tylko: „Trzymaj czysto". Pamiętając o wskazówkach pani nauczycielki, dziecko dopisało swoim niewyrobionym pismem: „Złotych ci sto", a wieczorem miało gorączkę.

Mój boże, jak to dziecko się zmieniło! Skończyło się spożywanie potraw bez grymasów. Teraz rąbało według fantazji to paprykarz, to śledzia po japońsku, to sos tatarski i nigdy nie było zadowolone z obiadu. Codziennie to samo — trzaskało drzwiami i wychodziło do restauracji. Zamiast wcześnie spać — do pierwszej w nocy czytywało Andersena, albo „Bajki polskie wujka Czesia". A kiedy przychodzili goście, to zamiast powiedzieć „dzień dobry" — witało ich wierszem: „Kredyt umarł, zabili go dłużnicy, o czym donoszą smutni żałobnicy".

Postanowiła zostać poetką. W osobnym kajeciku pisywała wiersze:

Pożyteczny jest i zdrowy
Polski Związek Motorowy.

Żebyś tęgim zuchem był,
Zawsze naprzód, nigdy w tył.

Gdyś nie mazgaj — zbieraj złom,
bo inaczej będzie srom.

Oraz wiele innych.

W szkole przyzwyczajono się do niej. Tylko koło Józefka działo się zamieszanie. Ciągle nic nie umiał.

Sławomir Mrożek

GUSTAW WOLFF

FRASZKI

Gustaw Wolff (1872—1951), znany księgarz warszawski, długoletni prezes Związku Księgarzy Polskich, był autorem szeregu tłumaczeń i utworów oryginalnych. Z jego dorobku publikujemy parę fraszek.

Na mazurskie dziedzice

Dziedziców ma herbowych setkę licha wioska
A każdy z nich sie o to nieustannie troska
Co czynić (kiedy Burek podle domu siada)
By ogon mu nie leżał na ziemi somsiada.

Na przeora

Niby pczelego roiu troskliwa maciora
Stara sie pilny przeor dla swego klasztora.
Wżdy iabych więcey ważył iego mądre rządy
By pczoły w nim hodował, a nie ieno trądy.

Na mazura w Ciechanowcu

Co piszę, w Ciechanowcu latoś się zdarzyło.
Przyiachał mazur ieden ze swoią kobyłą
Chudą starą iako on takież sam był stary
A długą, iże rzekłby, zbrakło na nię miary,
Na iarmark przedać. Gdy tak stoi przy kobyle
Żartownik sie trafiony zatrzyma na chwilę
I pyta: kielkoż będzie łokieć tey kobyły.
A mazur chwost iey zadarł, powie, panie miły
Wnidźcież daley do sklepu. Tamo tacy siedzą
Co wam nalepiey wszystko o niey rozpowiedzą.

Na Diogena y Alexandra

Piszę o Greku iednym (Diogen mu dziano)
Iż mu się z Alexandrem zetkać było dano
Co prze swe znamienite posiadł był zwycięstwa
Sławę a nie obeszłe prawie możne księstwa.
Długo pozierał wielgi ksiądz na Diogena
Niż rzekł k niemu: mądrości znaczna u mnie cena
Philozofiiey zasię pierwsze dam pałace.
Będziesz ie miał. Rzuć beczkę. Za wszystko ia płacę.
Diogen k temuż: dzięki za chuci uprzeyme.
Najsłodszy ci z niey nektar ssały moie usta
Niewdzięczna dziś ią rzucać, gdy iuż stoi pusta,
Luboż ci w niey, zapyta ksiądz on pustelnika.
Lubo. Wżdy słońce odsłoń. W kościach ci mnie strzyka.

O Iaśku y Kachnie

Skarżył się Iaśko srogiey Kachnie białolicey,
Iż go na samey ieno chowa obietnicy.
Ta mu: choway ty radniey niefortunność małą
Niżby sie mnie po tobie chować co dostało.

JOANNA KULMOWA

Pomnik nagrobny

Ozdobiono trumnę orderami,
wypuszczono inedita w obieg.
Kompetentnym z serca spadł ogromny kamień —
i zrobili z niego pomnik na grobie.

*

Ten dom ma w sobie coś z kościoła,
krzyżyk na każdej z czterech ścian;
a jego pan — pobożny pan —
krzyż kreśli na dziecięcych czołach.

*

Nawet na piersi nosi krzyż.
A za co panu go przyznali?
— To, towarzyszko, za to, iż
od lat wyznaję materializm.

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 8 86-11, 8 24-11. — Red. naczelny 8 79-38. Adres administracji, Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8 53-30. Wydaje RSW „Prasa". Kolportaż PPK „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Prenumeratę przyjmują: wszystkie kioski PPK „Ruch" z wyjątkiem kiosków dworcowych — w terminie od 1 do 25 każdego miesiąca, cena prenumeraty wynosi w styczniu 6 zł, lutym 4.80 zł, marcu 4.80 zł, kwietniu 4.80 zł, maju 6 zł, czerwcu 4.80 zł — oraz wszystkie urzędy pocztowe i listonosze w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następny, warunki prenumeraty pocztowej: miesięcznie 4.60 zł, kwart. 13.80 zł, półrocz. 27.60 zł, rocznie 55.20 zł. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", Warszawa, ul. Poznańska 38, konto PKO 1-111 5689, tel. 23-09. Rękop. niezamów. redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5.

Zam. 334 B-6-676